odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI
Rok VI.
Łódź, 3. III. 63.
Nr 9 (281)
Cena
1 zł

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

Na JUBILEUSZ

Tak, tak, kochani, „Odgłosom" stuknęła już piątka, czytacie właśnie nasz niejako jubileuszowy numer. Trochę nam przykro, że ten numer jest chudy, tylko ośmiostronicowy, ale śnieg pada. przeżywamy trudności papierowe. Oczywiście nie trudności są papierowe, czyli mało ważne, po prostu brak papieru, czasopisma schudły, „Odgłosy" także muszą zacisnąć pasa na sam jubileusz.

Pięć lat temu wydaliśmy pierwszy numer. Obyście nie pamiętali jak bardzo był niewydarzony. Następne także mało były dorzeczne. Osobliwa krzyżówka, coś z dawnych „Kulis" i „Przekroju", wymieszane nie nazbyt zręcznie z „Nową Kulturą", „Karuzelą" i „Głosem Nauczycielskim", przedziwny noworodek, w którym można było doszukać się cech wszystkich znajomych. tylko własnych, rodzinnych cech brakowało.

Kimże ty jesteś nasz łódzki Czytelniku? — oto pytanie na które staraliśmy się znaleźć właściwą odpowiedź w każdym numerze. Profesorem, czy pracownikiem Wyższej Uczelni? Literatem? Nauczycielem, czy może bibliotekarzem? Snobem, czy lekarzem? Działaczem. czy grafomanem, który boczy się na świat? Studentem, uczniem czy zwykłym łódzkim brukoszlifierzem? Co ciebie interesuje? Zawiłe arkana amorficznej prozy, czy metaforyka nowoczesna? Kryminalne przygody, czy problemy miasta i województwa, w którym żyjesz? Książka, film, telewizja, czy morderstwo w czterech pokojach z kuchnią? Życie Papuasów, czy życie w szybko przeobrażających się dzielnicach Łodzi?

Szukanie odpowiedzi na te pytania znaczyło dla nas równocześnie tyle co odnajdywanie kształtu pisma, jego modelu. Ani to łatwe, ani da się zrobić na poczekaniu. Działalność „Odgłosów" poprzedzały wcześniejsze ambicje, sięgające wgłąb czasów międzywojennych, ambicje często duże, ciekawe, pożyteczne, ale z reguły krótkie. Nasze łódzkie periodyki społeczno-kulturalne, czy literackie, kończyły szybko żywoty, chociaż — przyznajmy to — wprowadzały niekiedy zdrowy ferment intelektualny w życie jakiejś części miasta.

Tak, czy inaczej, „Odgłosy" nie miały najlepszych prognoz. Mówiono nawet złośliwie, że w Łodzi, tym mieście szarym i mało kulturalnym, nie ma takiego problemu — kto pismo założy. Jest tylko problem — kto je rozłoży i to na obie łopatki. Powoływano się na fakt, jeszcze i dziś sprawdzalny, niewielkiej poczytności ogólnokrajowych czasopism literackich, czy społeczno-kulturalnych.

Sądzimy, nauczeni doświadczeniem, że każde miasto ma swoją metrykę kulturalną, znaczy — ma określony stopień zaawansowania w czynnym życiu kulturalnym. Staraliśmy się odczytać metrykę Łodzi i województwa jak najbardziej prawidłowo. I możemy powiedzieć — czytelnik łódzki jest chłonny i wdzięczny, co więcej — posiada szerokie zainteresowania, ciężko trawi czasopisma profesjonalne, pisma jednej branży, chociażby to była profesja literacka. Wiadomo, literaturą żyje się dziś nie tylko poprzez książkę, ale także poprzez film, telewizję, zwłaszcza gdy chodzi o dramaturgię. Staramy się szanować te szersze zainteresowania. Nie brak u nas poezji i prozy, jest jej może nawet więcej niż w niektórych „czystych" pismach literackich, nie brak u nas spraw teatralnych, ale przecież jest silniej niż gdzie indziej wypunktowany

Dalszy ciąg na str. 2

Nie będziemy powtarzać znanego już z pism codziennych komunikatu o trudnościach, jakie przeżywa prasa w związku z kłopotami papierowymi.

„Odgłosy" wychodzić będą co drugi numer w objętości 8 kolumn (na przemian „dwunastka" i „ósemka").

Rzecz prosta, nasz nieco mniejszy numer będzie równie ciekawy.

KRZYSZTOF POGORZELEC

Listy pisane na rozstajach

Dziesiątki i setki listów. Adresat zawsze tensam: Warszawa, redakcja tygodnika „Przyjaciółka".

I zawsze te same słowa: „Kochana Przyjaciółko zwracam się do Ciebie z prośbą o pomoc..."

DZIECI PO PROSTU PYTAJĄ

Listy, które mam w swoim ręku pochodzą nie tylko z Łodzi czy naszego województwa lecz również z wielu innych bardzo nieraz odległych zakątków całego kraju. Pisały je dzieci. Może dlatego podejmują one tylko jeden problem: CO ZROBIĆ Z SOBĄ, JAKĄ WYBRAĆ DROGĘ ŻYCIOWĄ, GDZIE PÓJŚĆ DALEJ?

Pytajniki i bezradność. Ogromna bezradność.

„Jestem uczennicą VI klasy. Mieszkam w Radomsku. Uczę się dobrze, a poza tym bardzo ładnie deklamuję wiersze. Otrzymałam dwa dyplomy na Ogólnopolskim Konkursie Recytatorskim. Napisałam też kilka wierszy sama, myślę, że będę jeszcze czymś w życiu. A więc piszę do Was o pomoc, ażebyście mi przysłali adres jakiejś szkoły. Słyszałam, że przyjmują do Radia..."

„Jesteśmy uczniami VI klasy szkoły podstawowej. Prosimy o pomoc, by redakcja wskazała nam kilka adresów różnych szkół. Mój kolega chce być marynarzem, a mnie to zawód jest obojętny, ale prosimy Was bardzo o te adresy..."

„Mieszkam na wsi, ale chcę być fryzjerem. Czy jest taka szkoła, a jeżeli tak to gdzie? Co tam potrzeba umieć by przyjęli?"

„Ja — tutaj następuje imię i nazwisko — zwracam się do Ciebie z wielką prośbą „Przyjaciółko". W ubiegłym roku szkolnym zwróciłam się także do Ciebie z prośbą o adresy szkół włókienniczych i jedwabniczych i szybko mi je przysłałaś, za co bardzo dziękuję. Teraz też proszę o to, bo już kończę swoją szkołę podstawową z dobrymi wynikami. Zdałam do szkoły zawodowej włókienniczej w Oleśnicy, ale przestała się ona mi podobać. Mam zaufanie do szkoły fryzjerskiej albo krawieckiej w Częstochowie lub Łodzi. „Przyjaciółko" podaj mi ich adresy. Dlatego proszę cię o szkoły dwóch zawodów, bo

Dokończenie na str. 4

WIESŁAW MACHEJKO

Potrzeba MOCNEGO UDERZENIA

— Dziękujemy. To już koniec.

Dziewczyna zbladła. Wyszła. Po chwili raz jeszcze proszą ją do sali przesłuchań.

— Niech pani spróbuje niżej. Może od re...

Jest półżywa.

„Śpiewać muszę czy chcę czy też nie.
Padam. padam, padam..."

Głos więźnie jej w gardle. Oczy szklą się łzami.

— Dziękujemy. Proszę zostawić nazwisko.

Dziewczyna wybiega oszalała z radości.

— Zapisali!!!

Jest jedną z dwudziestu trzech. Do audycji potrzeba dziewięć śpiewających dzieciaków. Do konkursu stanęło ponad dwieście.

Reszta od kilku godzin szturmuje żelazną kratę zagradzającą schody. Stają zwartą, gwarną podekscytowaną ławą. Kiedy krata ustąpi runą na schody, które według nich, prowadzą do sławy, błyskotliwej kariery gwiazd big-beatu — mocnego uderzenia.

Mają po 8, 10, 12, 14 lat. Są i 20-latki, ale ci nas teraz nie obchodzą. W małej salce oświetlonej biurkową lampą rozpoczyna się cyrk dzieciaków. W rękach pękate bruliony z piosenkami wyciętymi z gazet i tygodników, zdobne zdjęciami mistrzów twista, big-beatu, rock and rolla. Niemal nikt z konkursowiczów nie śpiewa w szkolnym chórze sakramentalnego „Wesela sieradzkiego". Nie tworzą też modnych niegdyś tercetów i kwartetów śpiewaczych. Do sławy chcą iść samodzielnie. Idą. Przed oczyma, jak sztandar, popularna historyjka zawrotnego sukcesu pewnego śląskiego gońca biurowego. Wiele dziewcząt nosi mysie ogonki, obcisłe czarne spodnie i białe skarpetki. W rozedrganym tłumie depczą sobie po nogach, kupują i sprzedają, jak na giełdzie, spostrzeżenia wyniesione z przesłuchań. Rozpalone głowy, rozbiegane oczy, drżące ręce.

— Przepraszam, taka jestem zdenerwowana...

— W jakiej skali pani śpiewa?

— Raczej pośrodku klawiatury.

Jeszcze jeden konkurs na młode talenty. Jeszcze jedna instytucja potrząsa sitem pełnym dzieci i żółtodziobów, po to, by z tysięcy wyłowić jeden diamencik, nieco oszlifować, sprzedać, a potem zgubić, zapomnieć, bo w istocie okazał się być szkiełkiem małej próby. Mała Conis Francis, mała Helen Shapiro...

Z Łagiewnickiej, Cieszyńskiej, Lutomierskiej, przyszły

Dokończenie na str. 7

JÓZEF DUTKIEWICZ

Skąd u de Gaulle'a anglofobia?

W artykule Jana Bąbińskiego: „De Gaulle i Anglicy" (Odgłosy 24 lutego br.) wymienione są dwie historyczne przesłanki niechęci obecnego prezydenta Francji do „perfidnego Albionu": odległa historia wojny stuletniej i wojen napoleońskich, oraz po wtóre, osobiste przykrości spotykane przez de Gaulle'a na gruncie londyńskim z czasu ostatniej wojny. Pozwolę sobie zauważyć krytycznie, że już w okresie rządu Vichy próby propagandy hitlerowskiej wykorzystywania osoby ks. Reichstadtu, przypominanie Francuzom wojen napoleońskich spaliły na panewce, skończyły się całkowitym fiaskiem, jak zgodnie stwierdzają historycy francuscy. Serdeczne porozumienie francusko-angielskie zadzierzgnięte po raz pierwszy w okresie po rewolucji lipcowej, zacieśnione w czasie wojny krymskiej, odnowione przez wysiłki Edwarda VII i ministra Delcassé wytrzymało próbę wojny 1914—18. Wprawdzie na konferencji pokojowej Clemenceau starł się w wielu sprawach z Lloyd Georgem, Poincaré przez akcję w Zagłębiu Ruhry w 1922 r. naraził się angielskiej opinii, ale już rząd Herriota doszedł znowu do porozumienia z rządem MacDonalda, Locarno to dowód doskonałej harmonii dwu sąsiadów zza kanału.

Wobec wojny w Abisynii, wobec wojny w Hiszpanii, w Monachium wreszcie, polityka francuska sekunduje polityce angielskiej. Przypomnijmy, że sytuacja militarna Francji w końcu maja 1940 była bardzo zła, i że Churchill w czerwcu proponował rządowi francuskiemu unię w celu kontynuowania wojny. Postawa de Gaulle'a od momentu sławnego apelu z 18 czerwca 1940 r. musi być chyba uznana za anglofilską. De Gaulle nie zmienił swego stanowiska nawet po przykrym incydencie w Oranie. Pod koniec wojny stosunki brytyjsko-francuskie były lepsze niż stosunki amerykańsko-francuskie. De Gaulle w listopadzie 1944 r. proponował nawet Churchillowi, jak pisze w pamiętnikach, wspólny front przeciw roszczeniom Stanów Zjednoczonych. Nie zostało to co prawda sfinalizowane, gdyż Churchill był zbyt osobiście związany z Rooseveltem. De Gaulle w miesiąc potem w Moskwie próbował montować wspólną akcję przeciw anglosasom. Jak widzimy — antecedensa polityki zagranicznej de Gaulle'a są dość kręte.

To samo dotyczy stosunku de Gaulle'a do Niemiec. Bezpośrednio po zakończeniu wojny de Gaulle należał do najbardziej bezwzględnych zwolenników rozbrojenia całkowitego Niemiec. Lansował wyodrębnienie Zagłębia Ruhry z Rzeszy i umiedzynarodowienie całego wielkiego ośrodka przemysłowego Nadrenii. Nie krył się też z zamiarem trwałego przyłączenia Zagłębia Saary do Francji. Był w okresie swego odsunięcia od rządów zdecydowanym przeciwnikiem Europejskiej Wspólnoty Obronnej. Konsekwentny był tylko pod jednym względem: obrony wielkości Francji, pozycji Francji w Europie i w świecie. Jesienią 1944 jego zacietrzewienie posuwało się tak daleko, że jak sam pisze w pamiętnikach — cieszył się, gdy sprzymierzeni mieli trudności militarne, bo to podnosiło znaczenie udziału armii francuskiej w działaniach bojowych.

Przesłanek dzisiejszego antyangielskiego stanowiska de Gaulle'a szukać należy chyba przede wszystkim w tej pewnej manii wielkości. Jeśli odwoływać się do przeszłości, to chyba najbliższej: sprawa Syrii po wojnie, stosunek anglosasów do Tunisu, do problemu wojny w Indochinach (choć w tych dwu sprawach ostatnich raczej polityka amerykańska godziła w interesy francuskie niż polityka brytyjska). Zygzakowatość polityki de Gaulle'a najjaskrawiej występuje w stosunku do Hiszpanii. Wiemy jak serdeczne są dziś stosunki: Paryż — Madryt, tymczasem bezpośrednio po wojnie właśnie rząd de Gaulle'a domagał się, by wszystkie państwa zerwały stosunki dyplomatyczne z rządem gen. Franco.

Można by powiedzieć, że angielska polityka de Gaulle'a jest funkcją przyjaźni z Adenauerem. Ale de Gaulle wykazuje znacznie więcej samodzielności w stosunku do swych sojuszników z NATO niż stary kanclerz NRF. U źródeł Jedności Europejskiej legło porozumienie w sprawie węgla i stali, porozumienie będące wynikiem ścisłego zbliżenia kapitału francuskiego i niemieckiego. Trzeba też zwrócić uwagę na jeszcze jedną okoliczność gospodarczej natury, umożliwiającą de Gaulle'owi jego antybrytyjską postawę. To nie tylko wspólnota węgla i stali uniezależnia Francję od importu węgla angielskiego, ale jeszcze okoliczność uruchomienia olbrzymich zasobów gazu ziemnego we Francji, co powoduje, że Francja wobec jeszcze nowych źródeł ropy na Saharze, uniezależnia się pod względem energetycznym od węgla, którego spore ilości musiała importować przez ostatnie sto lat.

Wobec powyższego uważam za dość ryzykowne doszukiwanie się źródeł anglofobii francuskiej w jakiejś odległej jeszcze średniowiecznej tradycji wojennej, czy też tradycji wojen Ludwika XIV czy Napoleona I. Te tradycje zostały skutecznie przekreślone przez dziewiętnastowieczny okres długiej serdecznej kooperacji francusko-angielskiej. Pogląd, że „wiekowe" antagonizmy narodowe są najistotniejszym czynnikiem bieżącej polityki, należy do przeszłości. Dużo większe znaczenie niż tradycja ma bieżący układ interesów, zwłaszcza gospodarczych. Degaullizm można zestawiać z bonapartyzmem, ale zawsze pamiętać trzeba o olbrzymiej różnicy w sytuacji politycznej w świecie, w okresie po wielkiej rewolucji a w chwili bieżącej.

NA JUBILEUSZ

Dalszy ciąg ze str. 1

film i telewizja, owe bardzo już dziś masowe środki przekazywania treści kulturalnych. Lecz przecież odbieramy je nie tylko dla pięknego celu, jakim jest wzruszenie, odbieramy je dla wiedzy, pragniemy uzyskać umiejętność odrzucania ziarna od plewy, chcemy znać skomplikowaną sztukę wartościowania. Kultura, że użyjemy tu ogólnika, to świat naprawdę wielkich i cennych faktów, lecz także i świat pozorów, rzekomych wartości, świat niejasny, trudny do zrozumienia. Podobnie mają się rzeczy z polityką kulturalną, a więc z czymś co przypomina duchy. Wszyscy mówią, ale nikt nie widział. Staramy się oceniać zle i dobre tendencje w naszej polityce kulturalnej a przede wszystkim polityce oświatowej. Stąd tyle uporczywych, choć nie zawsze słusznych prac, poświęconych działalności kulturalnej, szkole, młodzieży i wychowaniu.

Cóż by tu jeszcze o naczym Czytelniku... Sądzimy, że lubi on, kiedy piszemy o nim samym, to znaczy o ludziach i ich działalności w różnych dziedzinach naszego życia. Stąd znowu nasza publicystyka i reportaże penetrujące różne dziedziny codziennej ludzkiej działalności w Łodzi, województwie, kraju. Od pracy naukowca, poprzez studentów, lekarzy, inżynierów, działaczy kulturalnych, aż do ofiarnych, zwykłych ludzi, ożywiających senne niekiedy życie w rozmaitych dzielnicach miasta. Historię Łodzi tworzą nie tylko Napoleonowie, ale wszyscy, którzy chcą być pożyteczni. Historia nie polega tylko na rozwoju bazy rzeczowej, piszemy przecież o niej, ale przede wszystkim na zmianach w świadomości człowieka.

Rzecz prosta, pięciu redaktorów (tylu nas jest) choćby jeszcze lepszych niż my, nie mogłoby sobie poradzić bez współpracowników. Po czytelnikach oni są dla nas najważniejsi. Duża to dziś grupa, choć przecież nie zamknięta, dosyć wszechstronna i zróżnicowana. Tak też jest dobrze, szerokości problematyki powinien odpowiadać możliwie szeroki wachlarz współpracowników. Kogóż to wśród nich nie ma! Uznani już pisarze, ale i ci, którzy zdobywają ostrogi, chętni, ciekawi świata wścibscy, umiejący obserwować sens dokonujących się przemian politycznych, społecznych i kulturalnych w naszej drodze do socjalizmu... Działacze kultury, nauczyciele, dziennikarze, znajdą się także i pracownicy naukowi, poeci, prozatorzy, reportażyści, publicyści, recenzenci — wszyscy oni tworza rodzaj drugiej, wielkiej redakcji. Część z nich towarzyszy nam od pięciu lat, inni przyszli później, wiemy też, że będą stale przychodzili nowi ludzie. Zwracą przy tym uwagę fakt, że wśród nowych współpracowników przeważają zdecydowanie ludzie wykształceni. Dobry to znak, dobrze świadczący o sytuacji kulturalnej naszego miasta. Zanika powoli, choć nie tak znowu łatwo, typ rozkosznego dyletanta, który i dramat na poczekaniu napisze i na elektronice się zna, albo na planowaniu przestrzennym, a jak trzeba, proszę bardzo, recenzję naukową natychmiast zmajstruje. Przeważa więc pomału typ współpracownika specjalizującego się, mocno zaangażowanego społecznie w ulubioną dziedzinę życia.

Pismo nie jest kwiatem mimozy, w ogóle nie jest roślinką, przecież jednak potrzebny mu jest odpowiedni klimat. Lecz cóż to znowu takiego — ów klimat niezbędny dla rozwoju pisma? Można by go nazwać życzliwym krytycyzmem. Tworzy ten klimat nasz Czytelnik, czuły na potknięcia pisma, surowy, lecz i sprawiedliwy w ocenie. Dostajemy cięgi w listach, dostajemy je i na licznych spotkaniach jeśli tylko zagapimy się, lub postawimy jakąś ważną społecznie sprawę na głowie. Ten klimat tworzą także współpracownicy pisma przez swoją ambicję, przez pasję dociekania prawdy o życiu, które nas otacza. Tworzą go wreszcie i nasze władze. Rozumiemy, władze nie lubią, kiedy się je chwali, ale przecież prawdziwa cnota pochwał się nie boi. Powiedzmy więc, że troska o pismo ze strony władz staje się o tyle większa, o ile w ogóle sprawy kultury zyskują na naszym mieście i naszym województwie. Z radością notujemy wzrost tej rangi, co — rzecz prosta — nie znaczy, że jesteśmy zachwyceni. Zachwyt jest zresztą pierwszym krokiem do nudy, nuda zaś — wrogiem każdego pisma. Nie chcielibyśmy być nudni w następnym pięcioleciu.

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

Do redakcji „Odgłosów"

Uprzejmie proszę o zamieszczenie poniższego sprostowania w miejscu tak samo widocznym i wyeksponowanym w jakim był zamieszczony mój ostatni reportaż: „BIALI I CZARNI" dotyczący kwestii murzyńskiej w USA.

Chodzi o następujące zniekształcenie: w moim artykule dostarczonym redakcji w maszynopisie wymieniając dwukrotnie liczbę Murzynów na stanowiskach kierowniczych w USA — określiłam ją, zgodnie z danymi statystycznymi za rok 1960, na 250.000 osób.

Niestety, cyfra ta w obu wypadkach została bądź w korekcie, bądź w zecerni zmniejszona dziesięciokrotnie, co jest niezgodne z prawdą i z moim rękopisem, a za co należy przeprosić czytelników „Odgłosów".

Z góry dziękuję Redakcji za zamieszczenie listu, co mi pozwoli jakoś naprawić niezawiniony przeze mnie błąd.

Łączę wyrazy poważania

WANDA KARCZEWSKA

EWA SULIBORSKA

MAŁA STABILIZACJA w Teatrze Powszechnym

Jan Bratkowski realizując „Klub Pickwicka" zaprezentował przedstawienie barwne i zabawne. Zaczyna się ono tak, jak zaczynać by się mogło w jarmarcznym kukiełkowym teatrze. Pan Pickwick jedzie czarnym dyliżan sem, gdzieś grają hymn Anglii, ustawione na scenie figury ożywają, Big Ben wyznacza czas londyńczykom. Panowie czytają Timesa, palą cygara, wstają z pięknych foteli, wszystkich takich samych, równie wytwornych i równie angielskich, by powitać swego prezesa. Wszystko wyznacza rytm mijających godzin zegara, rytm przyzwyczajeń, upodobań, sentymentów i znaczeń starej Anglii.

Potem przedstawienie zmienia charakter. Pięknie komponowane obrazki z panem Pickwickiem i jego przyjaciółmi stopniowo pozbywają się tych, tak charakterystycznych dla szopkowego widzenia świata przerysowań i kontrastów. A rzecz o panu Pickwicku przestaje być groteską.

Świat pana Pickwicka i takich jak pan Pickwick nie jest już wyśmiewany. Pan Pickwick przestaje być głupcem, śmiesznym grubasem, dumnym i pewnym siebie, przeświadczonym o wadze swojej osoby w świecie i o wadze misji jaką pełni. To co robi on sam i członkowie jego klubu, zaczyna być traktowane serio.

Przestajemy szydzić z pana Pickwicka i jego przyjaciół. Pan Pickwick zaczyna być rehabilitowany. Bo, w gruncie rzeczy pan Pickwick jest człowiekiem dobrym. Pan Pickwick ma czułe serce. My lubimy ludzi dobrych i ludzi o czułych sercach. Oni nas wzruszają. I pan Pickwick nas także wzrusza. Wzruszają nas także i jego przyjaciele. Są tak rozczulająco nieporadni, tak zadziwiająco dziecinni. Zaczynamy ich słuchać z uwagą. Na przykład pan Pickwick sądzi, że wszystko, nawet najdrobniejszy szczegół życia zasługuje na zapisanie, zapamiętanie i przekazanie innym. Czyż nie jest to myśl godna pochwały? I to nic, że pana Pickwicka zastanawiają sprawy zdawałoby się proste: koń, manewry, jakiś tam kamień. I to nic, że pan Pickwick jest naiwny i wierzy w rozmaite głupstwa. To dodaje mu tylko wdzięku. Naiwność świadczy tylko o jego kryształowym charakterze, o braku zdemoralizowania. Czymże bowiem innym tłumaczyć można pana Pickwicka i jego postępowanie? Walka z niesprawiedliwością prawa świadczy na przykład o czystości jego intencji. Świadczy o wierze w dobry porządek świata, świadczy o wierze w człowieka.

Pan Pickwick nie jest głupcem. Pan Pickwick jest człowiekiem mądrym. I fakt, że jego badania naukowe świadczyłyby o braku wykształcenia i orientacji nic tu nie ma do rzeczy. Pan Pickwick jest mądry, bo pan Pickwick wierzy. A fakt, że jest dobry i że chce czynić dobro, najzupełniej jego i świat, który prezentuje, tłumaczy. Pan Pickwick, sam szczęśliwy, uszczęśliwia innych. Czyż bowiem świata nie może zbawić pan Pickwick?

Jan Bratkowski posługując się adaptacją Wegsterna pozostał wierny powieści: spektakl w Teatrze Powszechnym starannie przekazuje fabułę i atmosferę dickensowskiego „Klubu Pickwicka". Ale „Klub Pickwicka" tu i teraz pokazany znaczy przecież nie tyle, ile znaczył przed laty, wówczas, gdy Dickens napisał swoją powieść. Warto więc zapytać, czemu służy to przedstawienie? Co chciał powiedzieć reżyser i kogo chciał zbawić i pocieszyć? I kimże jest ten Pickwick, którego oglądamy na scenie Teatru Powszechnego? Jest — jeśli nie potraktujemy tego przedstawienia jako bryku dla uczniów — idealnym modelem drobnomieszczanina, głupiego mieszczucha, zadowolonego z siebie i z życia, i przeżywającego właśnie, jak powiada Tadeusz Różewicz, „małą stabilizację".

Spektakl w Teatrze Powszechnym jest pochwałą ideałów życia, jakimi dysponują

dziś właściciele sklepików z galanterią. Czyż nie z ich marzeń są te odkrywcze podróże, te miękkie fotele w zamkniętym klubie, czyż to nie oni chcą owego życia cichego i wykwintnego, życia bez problemów, żarłocznego i stabilnego?

Nie wiem, czy takie były intencje reżysera i teatru. I chętnie wierzę, że ta pochwała świata pana Pickwicka, gdzie „głupota" — jak pisze Różewicz — przybiera rozmiary normalne, miłość i nienawiść zmniejszyły wymagania, metafizyka ma nogi jamnika, opoka mięknie i opowiada anegdotki" — nie była zamierzona. I że przedstawienie nie miało tego mówić, co mówią postacie Różewicza: „A wiesz boję się trochę, boję się o to, że mogę stracić to coś niecoś, naszą małą stabilizację".

Bo przedstawienie jest jak się rzekło barwne i zabawne, zrobione z wdziękiem, wyposażone w piękną scenografię Mariana Stańczaka i kilka udanych ról (Zdzieszyńska, Knast, Połomska, Sabara, Koczanowicz, Żukowski, Płoszaj, Wiernek, Kamas, Szewczyk). Być może, zaważyła indywidualność Aleksandra Fogla. Być może, to wdzięk, urok i ciepło tego świetnego aktora, jego komediowy temperament zmieniły charakter widowiska. Szopka zmieniła się w komedię realistyczną. A kpina, żart, groteska o panu Pickwicku zamienione zostały w bajkę o dobrym wujciu Samie, mogącym drobnymi sumami zbawić świat.

Państwowy Teatr Powszechny. Karol Dickens „Klub Pickwicka", adaptacja: N. Wegstern, scenografia Marian Stańczak, inscenizacja i reżyseria: Jan Bratkowski.

ALEKSANDER NIEŚMIAŁEK

NIEWYPAŁ „MIĘDZY BRZEGAMI"

O tym, że w dalszym ciągu nasza kinematografia fabularna narzeka na brak udanych, wartościowych artystycznie filmów o tematyce współczesnej, wie prawie każdy z czytelników i każdy z krytyków i recenzentów narzeka przy byle okazji. W większości wszystkie prawie niewypały filmowe poruszające problemy naszej współczesności utarło się kwitować, że — „choć film się nie udał, to jednak reżyser, taki a taki, podjął ambitną próbę, z której wyszedł..." itd., itd. Może w swojej ocenie nowego filmu fabularnego reż. Witolda Lesiewicza „Między brzegami" będę zbyt surowy i ocena będzie zbyt subiektywna, ale trudno pogodzić się z faktem, że znany reżyser, autor tak dojrzałego artystycznie filmu, jak „Kwiecień", zrealizował kolejny swój film na poziomie amatorskim, uzurpując sobie prawo do określania go jako filmu społecznego, jak to sam reż. Lesiewicz zapowiadał w roku ubiegłym na łamach tygodnika „Film".

Problem ludzkiej obojętności na sprawy innych ludzi jest u nas w kraju, na pewno nabrzmiały i godny podjęcia również w filmie fabularnym. Na pewno też, tak jak to stwierdzał we wspomnianym wywiadzie autor „Między brzegami" o tak zwanej znieczulicy społecznej, trudno mówić jednoznacznie w filmie fabularnym — na pewno nieodzowne są pewne uproszczenia fabularne. To wszystko prawda, ale niestety, prawdą także jest, że aktualny problem naszej współczesności przekazany w scenariuszu Kazimierza Orłosia wciśnięty został w ramy mało atrakcyjnej, nudnawej fabuły, której bohaterem jest skądinąd bardzo sympatyczny i jedynie żywy w tej całej historii człowiek — stary szewc. Ale nie o miłego dziadka — szewca w wykonaniu Kazimierza Fabisiaka w tym filmie chodziło. Sprawą zasadniczą miała być owa obojętność, znieczulica, której nosicielami nie są ani szewc ukąszony przez dawno niewidzianą przez innych żmiję, ani też miła dziewczynka zraniona odłamkiem niewypału porzuconego przez białowłosego idiotę. I tu dochodzimy do sprawy szeregu postaci, których działanie miało ukazać mechanizm tzw. znieczulicy i jej fatalne skutki.

Trudno określić czyja to wina, czy scenarzysty, czy reżysera, ale w tak papierowych ludzi trudno uwierzyć. Oprócz wspomnianego dziadka i małej dziewczynki, pozostałe postacie są żenujące w swej głupocie — i to głupocie niefrasobliwej, bo wydumanej i wyspekulowanej. Mało tego — ta niefrasobliwą głupota filmowych postaci przejęli się niektórzy aktorzy. Oprócz wspomnianego Kazimierza Fabisiaka, Ryszardy Hanin (debiut filmowy tej znakomitej aktorki teatralnej) i małej Magdy Czengery-Wołłejko, pozostali wykonawcy ról „Między brzegami" nie wiedzą, co mają robić na planie. Prawdopodobnie tylko jakiś bardzo złośliwy podszept nakazał reż. Lesiewiczowi lub jego współpracownikom zaangażować dawno już zasłużonego w rolach amantów i uwodzicieli Jerzego Pichelskiego i dać możność debiutu filmowego zupełnie niedojrzałej filmowo, początkującej aktorce — Mirosławie Wyszogrodzkiej. Znana z bardzo udanej kreacji aktorskiej w „Kwietniu" Maria Ciesielska chyba niezbyt była przekonana do odtwarzanej przez siebie roli w nowym filmie swego męża.

Niech twórcy filmu „Między brzegami" wybaczą, ale trudno spokojnie strawić utwór tak zwichnięty artystycznie. Tym trudniej, że zrealizowany przez zespół ludzi, którzy udowodnili już, że stać ich na pełnowartościowe filmy na dobrym poziomie artystycznym. Na marginesie omawiania tego filmu, trudno także nie wspomnieć o niezrozumiałych kryteriach, jakimi w ocenie tego filmu a także innych kierował się ostatnio red. Czesław Michalski „pod niebiosa" wychwalający „Między brzegami", a od „czci i wiary" odsadzający niewątpliwie dyskusyjna, ale bardzo wartościowa artystycznie „Przygodę" Antonioniego. Czyżby chwilowa niedyspozycja popularnego krytyka?

Romy Schneider gra w filmie Viscontiego „BOCCACCIO 70"

SOPHIA LOREN w nowym filmie Vittorio de Sica „Więźniowie z Altony" w/g dramatu JEAN-PAUL SARTRE'A.

TERESA ZWIERZCHOWSKA

„PRAWDA"

Cluzot nie bez powodu dał swemu filmowi tytuł „Prawda". Pokusił on się o to, by dać rzetelny obraz „walki pokoleń". Po raz pierwszy chyba zdarzyło się, że przedstawiciel świata ludzi dorosłych mówi o tych sprawach w sposób zupełnie bezstronny. Pozwala wszystkim zabierać głos, nikomu nie daje taryfy ulgowej, nie przyznaje przewagi z racji wieku, stanowiska, intelektu. Żadnych nieuczciwych chwytów, żadnego podpowiadania widowni gotowych rozwiązań. Niech sami ważą każde słowo, niech myślą i wybierają. I widownia obserwuje w napięciu to pasjonujące zmaganie.

Dominika właściwie niewiele ma do powiedzenia na swoją obronę. Ona nie ma gotowych formułek i ocen. Dopiero tu, na sali sądowej musi określić swoją postawę, zaczyna stawiać sobie pytanie dlaczego? I najczęściej odpowiada — „nie wiem". ale wierzcie mi, bo jestem szczera i nie chcę niczego ukrywać. Jest jak samo życie, pełna zagadek i znaków zapytania. Jest chaosem, wrażliwym systemem nerwowym. Widownia wierzy, że ta dziewczyna nie mogła działać z premedytacją, chociaż pozornie wszystko świadczy przeciw niej.

Szczerość to jedyna broń Dominiki.

Przedstawiciele świata dorosłych są (pozornie) lepiej uzbrojeni. Są to ludzie, którzy znaleźli swoje „ramki", swoje miejsce w społeczeństwie. Dla nich wszystko jest podporządkowane rozumowi i żelaznym prawom logiki. W ich pojęciu każdy skutek ma jasno określoną przyczynę. Nawet życie uczuciowe ujęte jest w pewne schematy, którymi można się posłużyć w każdej sytuacji życiowej. Jeśli schemat nie pasuje do rzeczywistości tym gorzej dla rzeczywistości.

Dominika nie jest tak pewna swoich racji, bo ona nie ma „ramek", nie ma swojego określonego miejsca w zorganizowanym społeczeństwie. Dla niej życie jest jeszcze dżunglą. Wie tylko, że nie wie. Dla swego działania nie ma żadnego innego usprawiedliwienia poza odruchem, poza tajemnymi siłami tkwiącymi w fizjologii, w podświadomości. Nie wierzono jej, więc przecięła sobie żyły. To był ten jedyny sposób aby stłuc ten szklany klosz, którym osłaniają dorośli swoje raz ustalone racje.

Cluzot ukazuje podstawową różnicę jaka dzieli nas, pokolenie ludzi dojrzałych od niesfornych „nastolatków". Ta różnica polega właśnie na tym, że my mamy swoje ramki obyczajowe, a oni nie mają. Nasze ramki to ramki z epoki secesji. Dziedziczymy je w prostej linii od mieszczaństwa. Może też nie bardzo potrafimy się w nich mieścić ale one ustalają nasze kryteria ocen, naszą zewnętrzną postawę, one narzucają nam „twarz".

„Nastolatki" odrzucają te ramy ale nie mają ich czym zastąpić. Na tym polega ich i nasze nieszczęście. Bo cóż my możemy im podpowiedzieć? Ile zużyto atramentu na dyskusje o młodym pokoleniu.

Zabrakło w nich właśnie obiektywizmu, który jest chyba największą zaletą filmu Cluzota. Przemawialiśmy „ex katedra" w sposób subiektywny. W tych głosach powtarzał się wciąż jeden motyw przewodni. „Gdy ja byłem młody, nie dojadałem, nie dosypiałem, uczyłem się po nocach, walczyłem z okupantem... itp. itd... a teraz młodzi mają wszystko, o nic nie muszą walczyć, niczego zdobywać.

I oni, obecna młodzież też chce mieć swoją „drogę krzyżową". Nas to śmieszy, bo patrzymy na nich z wyżyn naszego doświadczenia.

Nasze doświadczenie nie jest ich doświadczeniem i na to nie ma rady. Z braku lepszego przeciwnika szturmują naszą obyczajowość w imię szczerości. Szczerość nie jest jednak najlepszą busolą, bo trudno wyznaczyć jej granice, bo nie jest kategorią rozumową.

Dlatego często błądzą. A chociaż błądzą, nie chcą przyjąć naszej pomocy, nie chcą słuchać naszych mentorskich pouczeń. Jedyna platforma wzajemnej dyskusji to prawda. A do prawdy można dotrzeć tylko metodą obiektywnego myślenia poprzez bezstronną analizę wszystkich subiektywnych racji. Właśnie tak jak to zrobił Cluzot w swym filmie.

MIESZANKA FILMOWA

MIESZANKA FILMOWA

MIESZANKA FILMOWA

JERZY WILMAŃSKI

25 kilogramów JUBILEUSZU

Zważyliśmy. Jeden rocznik „Odgłosów" waży równo 5 kg. A tu przecież już pięć lat stuknęło i stąd ten może pozornie bezsensowny tytuł. Liczba w tytule pełni jeszcze inną funkcję. Uprzedza mianowicie, że w niniejszym felietonie cyfr znajdzie się więcej. No, bo jakże — 5 lat to przecież ponad 260 numerów, tysiące publikacji, setki autorów. W ciągu jednego roku pojawia się na łamach „Odgłosów" około trzysta nazwisk.

Było ich więc „dużo i różnych", że tak dowolnie pozwolimy sobie sparafrazować Majakowskiego. Rzecz prosta, my, których literackie czy dziennikarskie debiuty przypadają właśnie na początek „odgłosowej" działalności, pamiętamy najlepiej o publikacjach Bernarda Sztajnerta, dziś znanego i uznanego autora kilku książek, o publikacjach Wawrzkiewicza, Dąbrowskiej, Frejdlicha... Chyba zupełnie nieprzypadkowo na różnego rodzaju zjazdach i sympozjonach młodych pisarzy nazywano naszą łódzką gromadkę grupą „Odgłosów". Podkreślam, nie myśmy przybrali to miano — to właśnie inni tak nas określali. O czymś to niezawodnie świadczy. Też chyba nieprzypadkowo w roku 1960 redakcja przyznała dwie nagrody młodych Andrzejowi Brychtowi i Bernardowi Sztajnertowi — pisarzom, którzy nie tylko pisali o Łodzi i publikowali w „Odgłosach", ale przede wszystkim legitymują się autentycznymi talentami.

W pierwszych numerach „Odgłosy" rozpoczęły druk powieści sensacyjnej Zbigniewa Nienackiego pt. „Zabójstwo Herakliusza Pronobisa". Ilustrował ją wybitny polski malarz Jerzy Nowosielski. Dziś Nienacki ma za sobą kilka wydanych książek, kilka utworów dramatycznych, nagrodę za sztukę „Termitiera"... Nowosielski zaś katedrę w Akademii Sztuk Pięknych. Ale tych miłych faktów nie przypisuję, rzecz prosta, „Odgłosom".

W ciągu owych pięciu lat „Odgłosy" wydrukowały w odcinkach 16 większych publikacji — powieści lub książek innego rodzaju. Bardzo ciekawe są tu pierwsze lata. Był wówczas run na powieści o kosmosie (pierwszy sputnik), których w krótkim czasie opublikowano wówczas aż cztery (Ostoja, Hamilton, Semak, Jefremow). Z tych 16 książek aż 10 wyszło spod piór autorów łódzkich, a jedna jakkolwiek napisana przez warszawskiego dziennikarza, mówiła o historii Łodzi. Chodzi oczywiście o „Geyerowską legendę" Andrzeja Berkowicza.

Trudno też nie wspomnieć o powieściach, które zarówno w trakcie publikowania ich w odcinkach, jak i po wydaniu książkowym, wzbudzały duże zainteresowanie. Kiedy wśród siedmiu przypadkowych osób przeprowadziliśmy małą ankietkę prosząc o wymienienie trzech powieści drukowanych przez „Odgłosy" — „Magdalenę" Tadeusza Papiera wymieniono siedem razy, „Okolicę starszego kolegi" Wiesława Jaździńskiego pięć razy i „Worek judaszów" Zbigniewa Nienackiego sześć razy.

W roku 1958 czytelnicy znaleźli w „Odgłosach" cykl reportaży Z. Nienackiego pt. „Na tropie tajemniczego Albazina". Z reportaży zrodziła się książka, którą po trzech latach wydała „Nasza Księgarnia". Młodzi czytelnicy wiedzą, że chodzi o powieść pt. „Pozwolenie na przywóz lwa". Skończmy zresztą tę „wyliczankę", bo i miejsca nie starczy, aby ją doprowadzić do końca.

Myślę, że zainteresuje Czytelników, która ze stałych rubryk pisma kontynuowana była najdłużej. Otóż najdłużej, bo aż do chwili obecnej kontynuowany jest cykl felietonów Mariana Piechala. Początkowo cykl nosił nazwę „Rzeczy zmyślone". Dziś — jak wiadomo — „Sedno rzeczy". Następnym „długodystansowcem" był cykl „Najostrzejsze ołówki świata" — prezentacja światowej czołówki karykaturzystów, redagowana przez Janusza Weycherta, skądinąd reżysera filmowego — współtwórcę „Kwietnia". Dalej felieton „Belfra" — czyli Zbigniewa Chylińskiego publikowany przez trzy lata i również trzyletnia Kronika Kulturalna początkowo nosząca tytuł „Kupić nie kupić" a obecnie „Informacje i zaczepki", redagowana (choć przez skromność należałoby może zmilczeć) przez niżej podpisanego. Interesujący był również cykl „Łodzianie 1960", który następnie przekształcił się w cykl „rozmów" z łódzkimi naukowcami.

Nie wszystkie, rzecz prosta, rubryki miały taki długi żywot. „Odgłosy" publikowały przecież na zasadzie krótkich serii bardzo interesujące cykle, jak choćby prezentacje łódzkich pisarzy czy plastyków (Tyszkiewiczowa, Nowosielski, Zieliński) czy wreszcie rozpoczęty niedawno cykl prezentujący łódzkich aktorów.

Dwukrotnie — na trzylecie i czterolecie „Odgłosów" przeprowadzono wywiady z czytelnikami na temat pisma. Oba rekonesanse potwierdziły głód literatury sensacyjnej, ale typu bardzo cennego poznawczo, jak np. „Kulisy drugiej wojny światowej". Tego rodzaju publikacje pióra Jerzego Dagoberta ukazywały się u nas z przerwami od 1959 r. do końca 1962. Nasi czytelnicy dziś spotykają w prasie codziennej przedrukowane z biuletynów agencyjnych historie szpiegów i wywiadów znane im z „Odgłosów" sprzed 2—3 lat.

Nudne są zapewne stereotypy na temat „zawrotnego tempa życia". Ale jakim zwrotem kwitować można fakt, że w 1958 roku „Odgłosy" pisały o telewizji jak o żelaznym wilku i pieśni przyszłości, a już w rok później pojawia się na ich łamach rubryka telewizyjna. Albo któż przypuszczał, że w tak krótkim czasie przez łamy „Odgłosów" przewinie się cały szereg nazwisk największych asów polskiego reportażu. Publikowali tu przecież swe prace na konkurs „Opisanie Łodzi" — Ambroziewicz, Bratkowski, Drozdowski, Kozicki, Kwiatkowski, Lovel, Roszko, Urban... w sumie dwudziestu paru reporterów z całego kraju i tyluż łódzkich dziennikarzy, że wspomnimy dla przykładu — Bąbola, Ostrowską, Pogorzelca czy Brysza. Szkoda, że w wydawniczej kuchni tak długo trwa gotowanie zbioru reportaży z pokłosia konkursu, który stał się w Łodzi w 1961 roku wydarzeniem kulturalnym pierwszej próby.

Ze względu na specyficzną sytuację Łodzi, w której znajduje się Wytwórnia Filmów Fabularnych, Wytwórnia Filmów Oświatowych, Studio Małych Form Filmowych oraz Wyższa Szkoła Filmowa — „Odgłosy" aż całą kolumnę tygodniowo poświęcają zagadnieniom kina. „Mieszanka Filmowa" grupuje ludzi ściśle związanych z filmem, fachowców od spraw filmowych — o co dziś nie jest w Polsce tak łatwo. Na łamach „Mieszanki Filmowej" piszą recenzje i krytyki ludzie ściśle związani z Zakładem Wiedzy o Filmie UŁ — prof. B. Lewicki — znany teoretyk filmu, Maria Kornatowska, Ewa Nurczyńska, Aleksander Nieśmiałek i inni. Ostatnio „Odgłosy" drukują cały cykl poważnych publicystycznych materiałów, dotyczących zagadnień filmu. Materiały te opracował zespół pracowników Zakładu Wiedzy o Filmie.

Pięć lat — dwadzieścia pięć kilogramów jubileuszu. Ale oczywiście, to nie wszystko. Przez te pięć lat redaktorzy „Odgłosów" i stali współpracownicy zdążyli jeszcze opublikować w wydawnictwach Łodzi i Warszawy 25 książek — powieści, reportaży, tomików poetyckich. Jakaś magia liczb czy co u licha? Wszystko kręci się wokół owej magicznej piątki. Członków kolegium redakcyjnego jest także pięciu.

A pointa? No cóż, wobec takiego nawału piątek, pointa sama ciśnie się pod pióro. Daj dobry los drugie pięć lat, trzecie i jeszcze z dziesięć albo i dwadzieścia.

Dalszy ciąg ze str. 1

jeszcze nie wiem do której mam się udać..."

„Pod presją rodziców zacząłem się uczyć w Liceum Pedagogicznym, ale ten przyszły zawód wcale mi nie odpowiada. Chciałbym zmienić szkołę, ale znowu moi rodzice nie zgadzają się na to, bo chcą bym został nauczycielem. Ja mam zdolności do matematyki i rysunków i marzę o Politechnice. Poradźcie, co mam zrobić, a przede wszystkim jaką mam wybrać szkołę bym w przyszłości był zadowolony?"

„W tym roku zdałam egzamin do Liceum Ekonomicznego. Szkoła idzie mi dość dobrze, ale nie daje mi żadnego zadowolenia. Od bardzo dawna chciałam uczęszczać do szkoły ogólnokształcącej, gdyż interesuje mnie literatura, historia. Rodzice jednak nie pozwalają na taką zamianę gdyż twierdzą, że nie będę się mogła potem dostać na studia. Co mam robić?"

Czasami piszą nawet kandydaci na przyszłych studentów:

„Ukończyłem Technikum Kolejowe. Teraz jestem na praktyce w Łodzi, lecz praca nie daje mi tyle zadowolenia co nauka (sic!). Moim dalszym marzeniem jest Politechnika — wydział komunikacyjny. Ale nie wiem gdzie on się mieści. Podajcie adres".

Innym razem listy mają nawet oprócz bezradności jakiś nie zamierzony wyraz humorystyczny. Posłuchajcie tylko:

„Z opisów szóstego lądu — Antarktydy pokochałem ten ląd. Chciałbym zostać badaczem w imię nauki, ale nie mam warunków finansowych. Ja chodzę do VII klasy szkoły podstawowej i jestem zdolny. Lubię czytać książki, ale najlepiej to lubię majsterkować. Tylko, że nie wiem co zrobić ze sobą dalej?"

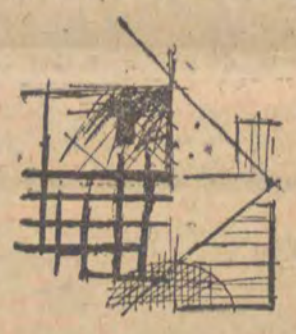

Piszą nie tylko dzieci do redakcji, ale także i rodzice. Posłuchajcie listu, który jest wspólną korespondencją matki i córki. Najpierw list osoby dorosłej:

„Mimo że jest dopiero styczeń, to jednak wierzę, że będzie lato, a co za tym idzie trzeba jakoś ładnie wyglądać. Mam ciągły kłopot z nogami, bo stwardniały mi pięty. Bardzo pękają. Redakcjo podaj jakiś sposób, abym mogła chodzić latem bez pończoch i ładnie wyglądać.

A teraz dopisek dziecka:

„Korzystając z listu mamusi chcę od ciebie „Przyjaciółko" zaczerpnąć wskazówek. Jestem obecnie uczennicą IV klasy Technikum Rolniczego, a w przyszłości chcę iść na studia wyższe. Mam zdolności do języków i polskiego. Nie wiem jednak na jakie kierunki studiów można iść. A przecież trzeba się do tego przygotować. „Przyjaciółko" poradź co zrobić. Słyszałam, że idąc na studia języka polskiego można otrzymać kartę wstępu bez zdawania egzaminów jeżeli napisze się jakiś utwór. Napisz mi redakcjo czy to prawda i gdzie się to wysyła".

Zacytowaliśmy tylko kilka fragmentów z paczki listów, która zawiera ponad 500 sztuk rozmaitej korespondencji. Zachowaliśmy również styl, formę i język tych listów. Ale nie jest ważne jak ci młodzi ludzie się wyrażają, czy operują poprawną polszczyzną. Dzieci po prostu

Listy pisane na rozstajach

pytają. Dzieci chcą wiedzieć co z sobą zrobić, jaką wybrać drogę, by nie była ona nieporozumieniem, by nie przyniosła zamiast radości rozczarowania.

CIENIE PRASOWEGO PORADNICTWA

Właśnie dlatego wypada zwrócić uwagę na pewien bardzo znamienny i charakterystyczny dla tej korespondencji fakt: zupełna niewiedza i zdezorientowanie, brak jakichś zdecydowanych poglądów na wybór przyszłego zawodu, swoich umiejętności i zainteresowań.

Wyraża się to w takich właśnie sformułowaniach jak „wskażcie mi adres JAKIEJŚ szkoły", „proszę o podanie adresów różnych szkół". Korespondenci nie mają jakichś wyraźnie wybranych czy upatrzonych placówek, w których chcą kontynuować swoją naukę, lecz zdają się w tym przypadku na radę osób trzecich, przyjmując, że ta rada będzie najlepsza.

I chyba się mylą, chociaż redakcja tygodnika „Przyjaciółka" oraz wszystkie inne instytucje pedagogiczne i społeczne, do których napływa ta korespondencja chciałyby rzeczywiście najlepiej pomóc i doradzić. Ale przecież tak naprawdę to nie wiele mogą.

Zresztą młodzi ludzie pytają nie tylko o to, gdzie pójść dalej i jakie kierunki nauki wybrać w przyszłości. W listach, które tutaj zacytowaliśmy można znaleźć również skutki owej niewiedzy czy też niedoskonałego, albo wręcz szkodliwego „poradnictwa".

Oto dziewczyna, która ma za sobą kilka klas technikum ekonomicznego, chce rzucić szkołę, wybrać się do „ogólniaka".

Chłopak, który uczęszczał do szkoły rolniczej, chce być inżynierem, a nawet — jak twierdzi — ma do tego prawo, bo wykazuje zdolności w matematyce i rysunkach.

Dziewczyna utrzymuje, że na studia języka polskiego można się dostać „ulgowo" jeżeli napisze się jakiś... utwór.

POD PRESJĄ TRADYCJI

Nie można tylko stwierdzić faktów, które na pewno są szokujące tak z punktu widzenia społecznego, jak i ekonomicznego. W pierwszym przypadku takie zdezorientowanie, brak wiedzy o swoich umiejętnościach, ulubionych kierunkach nauki czy też w przyszłości — ulubionej pracy zawodowej przynosi ogromne szkody, gdyż człowiek niewłaściwie pokierowany czuje się niepotrzebny, skrzywdzony, jest wiecznym malkontentem. Nie stara on się też pogłębić swojej wiedzy, osiągnąć dobrych wyników w nauce, pogłębiać swoich umiejętności. Z punktu widzenia gospodarczego taki stan rzeczy przynosi także niepomyślne rezultaty, gdyż człowiek, który pracuje w nielubianym zawodzie — znowu jak twierdzą psycholodzy — nie daje z siebie wszystkiego na co go stać, nie stara się wnieść do swojej pracy elementów twórczych.

Stąd pytanie: kto jest winien, że tak wiele osób wśród naszej młodzieży nie wie co z sobą zrobić? Tak wiele z nich zmienia w trakcie nauki szkołę, tak wiele osób już w momencie podjęcia pracy zawodowej staje się wiecznymi tułaczami — od zakładu do zakładu, od specjalizacji do specjalizacji.

Nie będziemy dalecy od prawdy, jeżeli stwierdzimy, że pierwszym czynnikiem sprawczym jest tutaj NIEWIEDZA. Prof. dr J. Szczepański w jednym ze swoich odczytów powiedział, że zdecydowana większość młodzieży nie wie, ile i jakie zawody są obecnie potrzebne współczesnemu przemysłowi, jakie specjalności są poszukiwane, jakich się można wyuczyć. Młodzież nie wie nie tylko tego. Boję się, że do wielu wiosek i małych miasteczek nie trafia również wiedza o tym, gdzie i jakie placówki kształcą odpowiednich fachowców, co po ukończeniu szkoły będą ci ludzie robić, jakich umiejętności potrzeba, by stać się dobrym ekonomistą, agronomem czy pielęgniarką.

Młodzi ludzie nie wiedzą poza tym jeszcze wielu innych rzeczy. Znowu powołując się na zdanie prof. dr J. Szczepańskiego stwierdzam za nim, że jednym z motorów kierujących wyborem zawodu wśród młodzieży jest pozycja społeczna danego zawodu, ale kto wie czy nie bardziej efekty materialne jakie on przynosi.

I tutaj zaczyna się dramat. Dramat, który jest konfliktem pokoleń, upodobań, nawyków i pewnych utartych poglądów starszego społeczeństwa oraz tego wszystkiego co się określa mianem nowego. Nie jest tajemnicą, że spora część rodziców kształcących swoje dzieci stara się pokierować je na kierunki studiów, które mają ustaloną renomę, pozycję społeczną i ewentualnie zapewniają dobre warunki materialne. Stąd np. takim powszechnie wybieranym kierunkiem studiów jest medycyna, tu i ówdzie jeszcze prawo. Te dwa kierunki studiów kształciły przecież w latach przedwojennych kastę ludzi o wysokiej pozycji społecznej, równocześnie zapewniając im sowity profit materialny.

Więc — utarte od lat pojęcia przeważają. Jakże często dziecko samo wybrałoby zgodnie ze swoimi zainteresowaniami inny kierunek nauki, ale nie może, idzie na ową medycynę, którą polecił zapobiegliwy tatuś, wybiera prawo, choć chciałoby być w przyszłości biologiem czy fizykiem lub studiować matematykę.

Te utarte pojęcia i nawyki nie liczą się również z wymogami współczesnego życia i zmianami jakie zachodzą w naszym kraju, przemianami w strukturze przemysłu, który jest przecież podstawowym „odbiorcą" ludzi z wyższym wykształceniem. Stąd też tak często ludzie z dyplomami wyższych uczelni w kieszeni stają wobec problemu — gdzie znaleźć zatrudnienie zgodne z ich kwalifikacjami.

Jakże często nie znajdują jeszcze odpowiedzi. Stąd wiele osobistych tragedii, wiele kompleksów, które spaczają charakter młodego człowieka, spychają go na margines życia społecznego.

CZYJA TO SPRAWA?

Oczywiście, wypada tutaj odpowiedzieć na pytanie, co trzeba byłoby zrobić, by ten smutny stan rzeczy zmienić, by przypadek, presja rodziny, względnie też nierealne marzenia nie decydowały o podjęciu pracy czy też nauki w jakiejś określonej specjalności. Takie pomyłki to przecież rzecz kosztowna — kształcenie jednego studenta w ciągu roku akademickiego kosztuje około 35 tys. zł...

A więc — na pewno nie rodzina, na pewno nie przypadek.

Kto?

Na pewno również nie redakcja, choćby tak poczytnego tygodnika jak „Przyjaciółka". Ona również nie potrafi rozszyfrować szarady pt. „Życie". Na placu boju pozostaje tylko — pedagog, ten właśnie człowiek, który potrafi na podstawie kilkuletniej znajomości młodego kandydata na „dorosłego" rozszyfrować jego mentalność, umiejętności i upodobania.

Niestety, często jeszcze ta rola nie jest przez pedagogów należycie spełniana, a sieć odpowiednich poradni nie jest zbyt gęsta. Myślę, że póki szkoła nie powiąże tzw. przekazywania materiału nauczania z rozbudzeniem czynnych zainteresowań i to zainteresowań realnych, wciąż jeszcze będziemy czytać smutne listy młodych ludzi, którzy zatrzymali się na rozstajach.

Ale — czy tak pisząc — chcę zwolnić starsze społeczeństwo od obowiązku podpowiadania błądzącym właściwych dróg życiowych? Czy chcę obniżyć wartość pracy odpowiednich poradni?

Wprost przeciwnie. Wyrośliśmy z tych lat, kiedy nauczyciela obarczało się za wszystko, co dolega współczesnej młodzieży.

KRZYSZTOF POGORZELEC

FELIKS BĄBOL

Szukamy prezesa

ŁÓDŹ W JAKIEJ ŻYJEMY

SZUKAMY ETATÓW

Z czego wynikła w Nowym Złotnie potrzeba utworzenia Towarzystwa Przyjaciół Świetlic? Był to rok 1958 i Nowe Złotno należało już do Wielkiej Łodzi, więc jego mieszkańcy mogli mieć przecież co najmniej nadzieje, że skutki przynależności administracyjnej ujawnią się w przyszłości i w życiu kulturalnym tej naturalnej dzielnicy miasta. A może trzeba było zebrać siły do uderzenia w pleniące się i tu chuligaństwo, może za dużo krwi lało się na okolicznych zabawach w remizach strażackich? A może po prostu znalazło się kilku emerytów z ambicjami prezesów? Któż to może rozsądzić teraz...

Jedno jest pewne — konstytucja z 1952 roku dawała ludziom swobodę zrzeszania się, więc w Nowym Złotnie zrzeszyli się „przyjaciele świetlic", wyrażając w ten sposób pragnienie odciągnięcia współziomków od nudy i od wódy i stworzenia im potrzeby czytania, słuchania radia, potrzeby rozmowy o mieście i kraju, a może i o szerokim świecie.

Z tych samych chyba powodów powstało podobne Towarzystwo Przyjaciół Świetlic na Stokach, ale prezesom jego z czasem zabrakło sił czy inicjatywy i Towarzystwo jest w tej chwili w likwidacji. Czyżby znikły już cele, dla których je powołano? Przecież ludzie mówią, że na Stokach można i teraz jeszcze zanudzić się na śmierć, świat tu zabity deskami, związki z Wielką Łodzią są tylko administracyjno-formalne, bibliotekarka wpychająca ludziom do rąk książki jest tu prawdziwą bohaterką, ratującą resztki aspiracji ludzkich Przecież złośliwi twierdzą nawet, że i sława Stoków — najwyższy w Łodzi i kraju... przyrost naturalny — jest rezultatem nadmiaru czasu i nudy. Więc trochę nas zaskoczyła wiadomość, że Towarzystwo Świetlic na Stokach likwiduje się.

Ale cóż! Z pracą społeczną w związkach, towarzystwach i stowarzyszeniach sprawa niełatwa. Jeśli jeszcze stowarzyszenie takie otrzymuje dotacje od resortu, miasta czy swego zarządu głównego, to pół biedy: można opłacić etat sekretarza czy prezesa, którzy ciągną całą robotę nie zważając na powszechne dość zjawisko, że społecznicy mają po kilka czy kilkanaście funkcji i „tyrają" za dziesięciu a całe tłumy społecznej pracy ani tkną. Gdy jednak nie ma płatnych funkcjonariuszy, robota kuleje i stowarzyszenie czy towarzystwo jest w szczęśliwej sytuacji, jeśli za prezesa ma wyżywającego się w prezesowaniu emeryta wolnego od pracy i troski o dom. A skupić ludzi oddanych społecznej pracy wokół czegoś co ma statut, wielkie cele i ideały, piękną nazwę i nawet lokal — jest chyba najtrudniej.

Więc Towarzystwo na Stokach likwiduje się, a jego krewniak na Nowym Złotnie jeszcze istnieje. Czy długo jednak? Losy organizacji i stowarzyszeń pisane są bolesnym niekiedy językiem, ich „być" albo „nie być" zależy i od tego, co niesie samo życie i przemiany w naszym kraju.

Powstałe w 1951 roku w Łodzi wśród wielkiego lokalno-patriotycznego „hura" Stowarzyszenie Przyjaciół Opery w Łodzi skreślono niedawno z rejestru w Urzędzie Spraw Wewnętrznych, bo przestały istnieć cele, dla których je powołano. Było potrzebne bowiem dla podtrzymania ducha w narodzie i gotowości do ofiar pieniężnych, gdy Opera miała powstać ze środków społecznych. Po jej upaństwowieniu mobilizować narodu już nie trzeba. Przynajmniej — jeśli chodzi o pieniądze na budowę i wyposażenie wewnętrzne. (Czy obejdzie się jednak bez mobilizacji jeśli chodzi o frekwencję w monumentalnym gmachu na placu Dąbrowskiego — dopiero przyszłość pokaże).

Ten sam los spotkał Towarzystwo Przyjaciół Teatru Ziemi Łódzkiej z chwilą upaństwowienia teatru.

SZUKAMY SENSU

Jest w Łodzi około 300 stowarzyszeń różnego typu, kręgu zainteresowań i oddziaływania, różnej rangi. Staraliśmy się wejrzeć w ten gąszcz ludzkich inicjatyw, zamiłowań i społecznych ambicji, aby odpowiedzieć sobie na pewne pytanie: jak wysoka jest cena swobód konstytucyjnych, wynikających z art. 72, czy istnienie tych stowarzyszeń (nie podważając w niczym ani powagi ani aspiracji żadnego z nich) i wielki czasem trud podtrzymania tych organizacji przy życiu jest współmierny z korzyściami społecznymi. Czy gra jest jednym słowem warta świeczki?

Nie śmiemy oczywiście dyskutować nad sprawami tego rodzaju, jak potrzeba istnienia w Łodzi 142 oddziałów stowarzyszeń, towarzystw i organizacji posiadających swe centrale i zarządy główne w innych miastach, a najczęściej w Warszawie, zrzeszających naszą inteligencję techniczną i twórczą, ludzi nauki i czasem głębokiej wiedzy, choćby reprezentowali w swych zamiłowaniach i zainteresowaniach dziedziny nawet bardzo ekskluzywne a więc wykluczające te efekty, które wynikają z „szerzenia", „popularyzowania" itp. Nie czujemy się też powołani podważać istnienia takich nawet organizmów pracy społecznej i naukowej, których ilość członków wynosi 13 (Polski Związek Entomologiczny we Wrocławiu, Oddział w Łodzi), 23 (Polskie Towarzystwo Filologiczne), 27 (Towarzystwo Literackie im. Mickiewicza w Warszawie, Oddział w Łodzi) czy 25 (Polskie Towarzystwo Anatomo-Patologiczne w Warszawie, Oddział w Łodzi). Skupiają specjalistów z ciekawych i trudnych dziedzin i ich sukcesów nie da się chyba mierzyć tylko rosnącą ilością członków. A że tzw. szersze społeczeństwo na co dzień ma okazję dowiedzieć się o ich działalności i istnieniu jedynie z książki telefonicznej — to już inna sprawa. Żyją własnym, wysublimowanym życiem i to nam prawdopodobnie musi na razie wystarczyć...

Jeśli pod adresem wymienionych stowarzyszeń wysunęlibyśmy tylko takie pobożne życzenie: ożywienia działalności społeczeństwu bliżej nieznanej, to w stosunku do innych, postulat mógłby być konkretniejszy. Mamy np. na myśli — i znów nie chcemy ranić ambicji prezesów — stowarzyszenia, których działalność i statut obejmują bardzo znikome wycinki życia członków. Wspomnijmy choćby istniejący od 1946 roku w Łodzi Związek Adwokatów. Rozumiemy doskonale potrzebę istnienia Rady Adwokackiej obok Zrzeszenia Prawników Polskich, ale przecież wypełnienie konkretami i życiem Związku Adwokatów, który „troszczy się o sprawy towarzyskie i koleżeństwo wśród członków" jest z pewnością rzeczą bardzo trudną. Słyszeliśmy, że w tym związku była nawet dyskusja na temat: być czy nie być, ale że zwyciężyli obrońcy związku, zwyciężyły argumenty, że w związku odbywają się wieczorki towarzyskie i wycieczki autokarami, że dzieci członków uczą się języka angielskiego i francuskiego. Naśladując jednak ten związek, można by w Łodzi utworzyć w tej chwili co najmniej sto podobnych stowarzyszeń i związków — ale po co? Obcych języków można się już w Łodzi uczyć na kilkunastu dobrze zorganizowanych kursach, wycieczek różnego typu i rodzaju w PTTK i „Orbisie" zatrzęsienie, a wieczorki towarzyskie? A więzy koleżeństwa? Czy potrzebny do tego zaraz statut, składki członkowskie, walne zgromadzenia, wybory tajne i jawne?... Nie wiem — może potrzebny. Zresztą — konstytucja dała obywatelom swobodę zrzeszania i obywatele najlepiej wiedzą, jak z niej korzystać.

WZRUSZAMY SIĘ I DZIWIMY

Ale oprócz oddziałów organizacji mających swe siedziby w Łodzi, a zarządy główne poza Łodzią istnieje w naszym mieście tyle samo stowarzyszeń zarejestrowanych, żyjących własnym życiem, mniej lub więcej związanym z terenem, jego potrzebami. Jest więc chyba z dziesięć Stowarzyszeń Ochotniczych Straży Pożarnych w starych dzielnicach naturalnych Łodzi (Jędrzejów, Chocianowice, Mikołajew, Olechów i inne). Ich daty rejestracji urzędowej są świeże, powojenne, choć ich tradycje sięgają niekiedy ubiegłego stulecia.

Zmieniły się metody pracy rycerzy św. Floriana, powstały nowoczesne straże zawodowe, ale te stowarzyszenia pozostały. Po staremu zbierają się w nim rolnicy — członkowie dbali o całość swych słomianych strzech (a jest ich jeszcze sporo w Wielkiej Łodzi), zbierają się by wspomnieć stare czasy i tradycje, wynajmują sale remiz na zabawy młodym i jakoś wypełniają pustkę życia. Czasem tylko, gdy straż przyjedzie z miasta, rycząc

Dalszy ciąg na str. 6

Oto co dała Konstytucja z 22 lipca 1952 roku 28 milionom obywateli:

Art. 72 — „1) W celu rozwoju aktywności politycznej, społecznej, gospodarczej i kulturalnej ludu pracującego miast i wsi Polska Rzeczpospolita Ludowa zapewnia obywatelom prawo zrzeszania się. 2) Organizacje polityczne, związki zawodowe, zrzeszenia spółdzielcze, organizacje młodzieżowe, kobiece, sportowe i obronne, stowarzyszenia kulturalne, techniczne i naukowe, jak również inne organizacje społeczne ludu pracującego skupiają obywateli dla czynnego udziału w życiu politycznym, społecznym, gospodarczym i kulturalnym. 3) Tworzenie zrzeszeń i udział w zrzeszeniach, których cel lub działalność godzą w ustrój polityczny i społeczny albo w porządek prawny Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, jest zakazane".

JAN HUSZCZA

PRZYJĘCIE

Graliśmy w brydża. Choć cała czwórka reprezentowała znaczną wprawę i znajomość reguł, to w licytacji coraz częściej dochodziła do głosu fantazja, dowolność. Towarzyszące grze brydżowe dowcipy i powiedzonka stawały się z każdym kwadransem mniej wybredne, mniej zabawne. Gdy pani Żabicka, chuda blondyna o nadmiernie wysokim czole, głośno zastanawiała się na temat: „co zrzucić?", odpowiadano jej, bezczelnie poparskując: „siebie pod pociąg"...

Dydała ze Związku Spółdzielni, grubas o rozlazłej twarzy, w której tkwiły oczka małe i czarne, podobne do ptasich, ilekroć kontrował, to pod czas rozgrywki z lubością, jakby jadł kanapkę z apetycznym łososiem, powtarzał pod adresem przeciwników: „a dupci trzeba dać"... I jeszcze w dodatku szukał aprobującego uśmiechu na twarzy tejże pani Żabickiej.

Możliwe, że już było po północy. Mimo iż za oknami szumiała dżdżysta i zimna noc majowa, niektórzy często ścierali pot z twarzy, szminka na wargach pani Żabickiej rozlała się, na wargach innych kobiet, obecnych w sąsiednim pokoju, do którego szło się przez mały hall, prawdopodobnie także. Zresztą, można było przypuszczać, iż tam potu na twarzach było znacznie więcej, szminka jeszcze gwałtowniej traciła swoją zwartość, gdyż towarzystwo — opuszczone przez naszą brydżową czwórkę — siedziało wokół dużego stołu, zastawionego przekąskami i napojami. Dźwięki muzyki z magnetofonowej taśmy zapewne co chwila podrywały kogoś do tańca, nie słyszało się bowiem słów rozmowy, ale zrywy szerokiego śmiechu, rozbełtanego przez popiskiwanie i szuranie nogami.

Obok nas, niejako pod ręką, stał maleńki stolik, na którym sterczały filiżanki z wystygłą, nie dopitą kawą, butelki z winem i likierem. Stolik ten od jakiegoś czasu nie budził niczyjego zainteresowania, tylko kibicujący pani Żabickiej lekarz Pawelski nalewał sobie niekiedy brązowego płynu i wypijał go dyskretnie, nikogo nie namawiając do udziału. Gdy zaś raz zaproponował likier pani Żabickiej, spojrzałem na niego karcąco, bowiem wydawało mi się, iż ten kieliszek może ją doprowadzić do zupełnej nieprzytomności. A ja z trudem toleruję pijanych mężczyzn, wyraźne zaś obrzydzenie budzą we mnie zalane kobiety. Może z tego powodu, że do widoku zalanych kobiet — jak dotąd — mniej jesteśmy przyzwyczajeni. Ale chyba nie tylko z tego powodu. Kobieta zalana traci to wszystko, co stanowi o uroku jej inności, alkohol ponad normę jakoś szczególnie ją znieważa. (Choć co właściwie mogłoby jeszcze znieważyć niesympatyczną panią Żabicką?).

— Jak sobie tu radzicie? — z zapytaniem tym znowu pochylił się nad nami gospodarz, prezes spółdzielni „Omega", Jerzy.

— Doskonale! — zawołaliśmy niemal jednogłośnie.

Tylko mój partner, naczelnik wydziału, poskarżył się, próbując ściągnąć twarz w przesadny grymas:

— Karta mi dziś nie idzie, szlag by to trafił! — I uzupełnił: — Widocznie ktoś we mnie kocha się... Może to pani Ela? — zwrócił się do Żabickiej, próbując jednocześnie prawą ręką, wolną od kart, objąć ją w talii, opiętej morą, przelewającą się w elektrycznym świetle.

— Ja? — zachichotała blondyna. — Precz z rękami od polskiej kobiety i matki! — dodała, nie czyniąc jednak nic na poparcie swoich słów.

— A może już skończycie z brydżem? — ciągnął Jerzy. — I dołączycie do nas?... Wszyscy tego domagają się! Danuta — zwrócił się do mnie — dwa razy pytała o ciebie, a jako gospodyni musi tam czuwać, nie może tu przyjść... (W gruncie rzeczy Jerzemu zależało na ponownej obecności Dydały przy gościnnym stole. Jeszcze na początku przyjęcia wypili ze sobą na ty, ale na razie, zwracając się do siebie, ciągle mylili się. Należało zadbać o utrwalenie tego przejścia na ty).

Partnerzy spojrzeli po sobie, aby wybadać się i ustosunkować do prośby gospodarza. Ale Dydała, nawet nie oceniając wyrazu naszych twarzy, zawyrokował:

— Ma się rozumieć! Dogramy tylko robra! Pani Elu, proszę rozdać karty, zrobimy cztery bez atu i będzie koniec... — zaśmiał się do partnerki z pewną siebie miną, choć bowiem grał ze słabnącą uwagą, zapominając chwilami — jak sklerotyk — o wartości i kolorach zrzutek, karta waliła mu nieprzytomnie.

— No, więc zróbcie cztery bez atu! — ucieszył się Jerzy. — Czekamy na powrót państwa do zabawy! — I wrócili przez hall do tańczącego towarzystwa.

Robra dograli, robiąc nie cztery bez atu, ale pięć kier. Po dokonaniu żmudnych rozliczeń, odsunęliśmy krzesła i ruszyliśmy do tamtych.

Ten drugi pokój był znacznie obszerniejszy. Gdyby się chciało, można byłoby nazwać go salonem, choć w dni powszednie na pewno nim nie był, gdyż całe mieszkanie Majewskich, jako ludzi bezdzietnych, składało się z tych dwóch pokojów. Oczywiście, były to dwa pokoje, ale z kuchnią i łazienką, w dobrze trzymającej się, przedwojennej kamienicy.

A więc w salonie było wesoło, jarmarcznie i duszno. Tu jeszcze mniej odświeżało powietrze otwarte okno, wpuszczające wilgoć nawet trochę pachnącą bzami z ogródka, przylegającego do cichej o tej porze ulicy.

Przepuściłem przed sobą niedawnych partnerów i kibica, a sam oparłem się o framugę drzwi, aby pobieżnie rozejrzeć się w sytuacji. Nic przypominała ona w niczym tej sprzed kilku godzin, gdy dość sztywni, jakby onieśmieleni i uroczyści, zajmowaliśmy miejsca przy stole, aby jeść i pić, flirtować bez zobowiązania i opowiadać stare przeważnie kawały, mówić napuszone frazesy czyli obchodzić kolejną rocznicę urodzin Danuty.

Teraz na obrusie ciemniały plamy, jak na ruszonej przez odwilż zimowej drodze, wśród bezładnie rozstawionych kieliszków znajdowały się pełne i opróżnione, widelce i noże leżały byle gdzie, jedni siedzieli przy stole, drudzy niby tańczyli, trzeci szwendali się luzem po pokoju. Jakaś kobieta leżała przechylona przez parapet, wystawiając ufryzowaną głowę na deszcz, aby wytrzeźwieć. Czasem ktoś do niej podchodził, odsuwał brzeg brokatowej spódnicy, aby obejrzeć powyżej kolan zgrabne, choć mało strzeliste nogi. Niektórzy, widocznie szczególniejsi znawcy, w dowód uznania, na odchodnem, łagodnie klepali ją po tyłku. Gesty te, przetłumaczone na słowa, mogły znaczyć: „Brawo, miła, jesteś fajna"!

Krócej mówiąc, te piętnaście osób robiło tyle zamieszania, że łatwo było o wrażenie — nawet wtedy, gdy ktoś mało pił, jak ja — iż widzi się przynajmniej ze trzydzieści.

Sytuacja co chwila zmieniała się. Oto już przestano tańczyć, tylko jakiś pan, pochylony czujnie nad magnetofonem, zabawiał sam siebie kakofonią dźwięków, cofając taśmę wstecz lub gwałtownie zmieniając tempo krążków, między którymi przewijała się.

Odszukałem Danutę. Siedziała sama w pobliżu biurka, na którym dość przypadkowo zestawiono przyniesione przez gości kwiaty, poumieszczane w różnego kształtu naczyniach. Była wyraźnie zmęczona. Zmęczona, ale i jakaś podniecona chyba nie tylko ze względu na dużą ilość wypitego alkoholu.

— Jak się czujesz, Danuto?

— Dziękuję, dobrze. A ty jak się bawisz?

— Wiesz przecież, że nigdy nie umiem w pełni bawić się!

— O, tak. Ty zawsze jesteś rozsądny. Ty zawsze byłeś diabelnie rozsądny!

— Pretensja?

— Dajmy na to...

— W takim razie muszę na swoją obronę powiedzieć, że i z ciebie też zawsze było rozsądne stworzenie, Danuto!

— Nieprawda! — niemal krzyknęła i zerwała się z krzesła. — To tylko w twoich oczach taka jestem! Taką mnie w siebie wmówiłeś, a ja...

Jerzy, który najprawdopodobniej nas obserwował, znalazł się przy nas:

— Danusiu, źle się czujesz?

— Skądże! — zaśmiała się zbyt głośno, aby śmiech mógł brzmieć szczerze. I omal nie pośliznęła się na gładkiej, ułożonej z dębowych klepek, podłodze. Była więc bardziej pijana i podniecona, niż na to wyglądała. Wybiegła na wolną przestrzeń między stołem a wewnętrzną ścianą mieszkania i zakomenderowała:

— Babki, robimy strip-tease!

Wszyscy, z wyjątkiem leżącej na parapecie, zwrócili się ku Danucie. Danuta zaś szarpała się ze swoją suknią i tajnymi częściami garderoby. Zanim ktokolwiek zorientował się, stała, podając ciężkie piersi do przodu, jak posąg z lekko patynowanego gipsu. Wrażenie osłabiały jedynie różowe majtki i obwarzankowato poniżej kolana spełzające pończochy. Prawie krzyczała:

— No, która jeszcze odważy się?!

Rozległy się oklaski mężczyzn i wołanie:

— Strip-tease! Strip-tease! Prosimy, prosimy...

Rozejrzałem się. Jeszcze trzy panie zaczęły szamotać się ze swoimi sukienkami, bluzeczkami i spódniczkami.

Wbrew licznym i szczerym protestom Majewski zaczął przywoływać kobiety do porządku, a jednocześnie zbierał z podłogi leżące w nieładzie, jak na brzegu rzeki, suknię i bieliznę — wyprowadzał stawiającą opór Danutę do łazienki.

Pokaz trwał zapewne krócej, niż o nim da się opowiedzieć. Co trzeźwiejsi mężczyźni — a zwłaszcza, osobiście zainteresowani mężowie — opanowali sytuację. Chyba prawie wszyscy poczuli się zaskoczeni i może zaczęli przytomnieć, gdyż zakończenie pokazu odbyło się bez dwuznacznych komentarzy. I wkrótce — jakby to zdarzenie oznaczało jakiś alarm — postanowiono rozejść się do domów...

U Majewskich, jak się zdaje, została tylko owa pani z parapetu, gdyż w dalszym ciągu — pomimo zupełnie mokrej głowy — nie nadawała się do opuszczenia mieszkania nawet pod najbardziej energiczną o-

Dalszy ciąg na str. 6

Łódź w jakiej żyjemy

Dalszy ciąg ze str. 5

syrenami i siejąc popłoch wśród gęsi, łza się zakręci w oku, bo gdy zawodowcy uwijają się przy ogniu, nachodzi prezesów smutna myśl o starszym sikawkowym, którego już nie ma wśród członków stowarzyszenia OSP we wsi, o topornik u, który wyprowadził się do bloków w Łodzi...

Ze swobody zrzeszania się jednak najbardziej skwapliwie skorzystali ludzie zakochani w rzeczach prostych i zdawałoby się codziennych. Zakochani w gołębiach, klombach przed domkiem, kanarkach. Pierwszą na przykład rzeczą do załatwienia po wojnie w Rudzie Pabianickiej było powołanie do życia... Towarzystwa Ogrodów Przydomowych. Na Bałutach odezwali się pszczelarze i utworzyli oddział Polskiego Związku Pszczelarzy, na Chojnach ożywili się gołębiarze, tworząc oddział Polskiego Związku Hodowców Gołębi Pocztowych, obudzili się z drzemki właściciele rybek pokojowych, powołując do życia łódzki oddział Polskiego Związku Miłośników Akwarium.

Ci szlachetni maniacy przejawiają jednak tendencje do rozdrabiania swej inicjatywy. Widać to nawet w strukturze organizacyjnej. Bo organizacji zrzeszających hodowców gołębi jest kilka, w zależności od tego, o jakie gołębie chodzi. Grupa lotowa gołębi nr V — bo tak się to fachowo nazywa — mieści się na przykład przy ulicy Blokowej 3, grupa IV — przy Wesołej 46, inne grupy ptaków — gdzie indziej. Wi dać przy okazji ciekawe zja wisko: organizacja skupiająca ludzi hodujących gołębie, patrzących na rybki w akwariach, spędzających dni całe przy ulach w pasiece przyszła do Łodzi ze Śląska. Nie dziwmy się temu: górnik po szychcie spędzonej pod ziemią śmieje się do wszystkiego co żyje w słońcu, a lot gołębia potrafi mu przywrócić choćby na chwilę wiarę w sens istnienia. Zresztą na Śląsku najwięcej jest małych domków jednorodzinnych w sam raz, by wolne chwile spędzone w nich oddać na studia nad życiem pięknych mieczonoszy, nad lotem „srebrników", czy wśród nieustannie tętniących życiem pszczelich uli. W Łodzi domków jednorodzinnych jest niewiele, ale tam, gdzie warunki jeszcze istnieją — tam śląscy hobbiści dotarli.

Pomyślcie tylko, dzięki jakim wyrzeczeniom i w jakich warunkach ci szlachetni maniacy realizują swe statutowe cele. Miłośnicy akwarium np. „krzewią w społeczeństwie zamiłowanie do przyrody, jak również do akwariów i terrariów, krzewią w jednym pokoiku parterowym w domu przy ul. Piotrkowskiej 143, za światło i wodę płacą 600 zł rocznie a ze składek (63 członków) zbierają zaledwie ok. 3 tysiące. W tym pokoiku mieści się kancelaria i magazyn, tu stoją akwaria, tu pracuje jedyny płatny funkcjonariusz, który konserwuje akwaria (za 372 zł kwartalnie), tu odbywają się zebrania członków i nawet walne zgromadzenia. W majątku tego borykającego się z brutalnością życia stowarzyszenia jest poza tym pompka do tłoczenia powietrza, trzy biurka, trzy stoły, 2 szafy i 25 krzeseł. Gdzież więc prezes sadza członków (jest ich jak wspomniałem 63), dla których zabraknie krzeseł?

Ale pewnie coraz mniej złotych rybek w naszym mieście, bo i członków Związku ubywa (w ciągu tylko jednego roku ubyło ich 118) cywilizacja miejska coraz bardziej uderza w proste ludzkie zamiłowania, a okres, w którym na comiesięczne zebrania dyskusyjne w łódzkim oddziale Związku na Piotrkowskiej przyjeżdżał nawet przedstawiciel Polskiej Akademii Nauk z Warszawy — ten okres, niestety, należy już tylko do świetlanej przeszłości.

Swoboda zrzeszania się ujawniła jednak i zamiłowania wręcz nie z tej, szarej, polskiej ziemi. Krzewimy na przykład w Łodzi ekskluzywne hobby „koniarzy". Łódzki Klub Jeździecki skupiający 112 członków jest zrzeszeniem przypominającym do żywego... kluby właścicieli jachtów na Florydzie. Nie wiemy, czy na zebraniach tego klubu wspomniano choćby raz, że konie w naszych warunkach gospodarczo-paszowych stały się już narodowym nieszczęściem (konieczność uciążliwego importu zbóż i pasz), że oprócz koni, które hodujemy po to, by je sprzedać potem za dolary do stajni snobów w zachodniej Europie i tych koni, które muszą jeszcze pracować w małych, rozdrobnionych gospodarstwach rolnych — chcielibyśmy mieć w Polsce już tylko maszyny i traktory. Zresztą jeśli istnieje klub jeździecki, to dla czego nie ma klubu ręcznych tkaczy, stowarzyszenia miłośników lampy naftowej, czy szeptania na ucho?

DLA KOGO TEN TRUD?

Po wojnie życie poszło bystrym nurtem naprzód, a niektórzy ludzie zostali przy koniach i bryczesach. Komisja Planowania Gospodarczego przy Radzie Ministrów stara się coraz wnikliwiej i precyzyjniej planować nasz dzień jutrzejszy a tu swoboda zrzeszania się każe istnieć i zażywać wszelkich godności grupie ludzie, pragnących na własną rękę rozbudowywać całe miasta, tworzyć w nich przemysł, ożywiać gospodarczo. Od 1959 roku na przykład istnieje w Łodzi oddział Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Łomżyńskiej. Skupia 48 członków, odbyło do tej pory 2 walne zebrania i 12 zebrań zarządu.

Towarzystwo nie ma własnego lokalu (za duże osiągnięcie uważa więc uzyskanie sublokatorskiego kąta od Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego przy ul. Piotrkowskiej 179), członkowie nie mają legitymacji członkowskich, ich ewidencja nie jest prowadzona — ale przecież Towarzystwo w rejestrze figuruje. Figuruje i w jakiś sposób, z wielkim wysiłkiem i wśród niezwykłej improwizacji stara się martwe litery statutu wypełnić działaniem.

To nic zresztą, że na walnym zebraniu za klęskę uważano odejście byłego prezesa i podanie się do dymisji sekretarki, to nic, że dopiero po długiej dyskusji zdecydowano się na kandydatów do nowych władz głosować jawnie, a nie tajnie (obecnych na zebraniu było 19 osób) — zebrani z uporem postanowili nadal realizować szczytne zamierzenia statutu: wzmóc akcję nad rozwojem przemysłu w Łomży. I już sobie wyobrażam te ustawiczne zabiegi i delegacje zarządu łódzkiego oddziału Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Łomżyńskiej u premiera i w Komisji Planowania Gospodarczego. Już sobie wyobrażam, jak boczą się na siebie prezesi Towarzystwa Przyjaciół Łodzi i T-wa Przyjaciół Łomży, bo jeden chce rozwijać i podnieść Łódź, a drugi — w tym samym mieście i przy użyciu tych samych sił społecznych — Łomżę.

Ale wyobrażam sobie niepotrzebnie. Zbudować nagle przemysł w Łomży, to sprawa nie taka prosta, jakby wynikało ze statutu i dobrych chęci zarządu Towarzystwa, a na co dzień musi wystarczyć działalność skromniejsza i wymagająca mniej zapału i ofiar: „utrwalenie wśród członków zasad koleżeństwa, zorganizowanie wycieczki do Łomży, kontakty członków oddziału łódzkiego z członkami oddziału warszawskiego na gruncie prywatnym, udział w zabawie karnawałowej w Warszawie..."

Na co dzień musiały wystarczyć odczyty: „o kongresie muzykologicznym, o konkursie chopinowskim, o problemach moralnych i wychowaniu młodzieży". Wielkie to tematy, piękne, poruszające problemy i sprawy, ale czy w ten sposób posunęliśmy się choćby o krok naprzód w budowie przemysłu w Łomży? Oddajmy jednak sprawiedliwość prezesom i wszystkim ludziom dobrej woli. Najważniejsze, że cele mają ambitne i szczytne, a że Łomża nie zagraża jeszcze swą wielkością przemysłowemu Zambrowowi, to czy to ich wina? Życie poszło naprzód, obok niektórych prezesów, a im został tylko obowiązek czuwania, aby stowarzyszenie nie rozpadło się, by starczyło:

na zapłacenie telefonów	— 57.70
za sprzątanie sali	— 120.00
przejazdy służbowe i diety	— 536.80
wieńce i depesze kondolencyjne	— 206.60
odprowadzenie do centrali	— 569.00

Bo tyle trzeba zapłacić w ciągu jednego roku.

FELIKS BĄBOL

informacje i zaczepki

Już ukazała się książka Bernarda Sztajnerta pt. „Ulica Wilcza". Powieść (wydana przez Wyd. Łódzkie) jest niejako kontynuacją wątku rozpoczętego w „Narodzinach Brunona Bundera". „Odgłosy" napiszą niebawem obszerniej na temat tej ciekawej książki, którą już dziś radzimy przeczytać.

❖

Łódzki Zespół Tańców Ludowych im. Harnama wyjechał na miesięczne tournee po ośrodkach polonijnych we Francji. Harnamowcy wystąpią m. in. w Hawrze, Calais, Nancy i Metzu. Życzymy powodzenia.

❖

Na turnieju jednego wiersza jaki zorganizował Klub Studentów, pewien poeta czytał wiersz pt. „Tryptyk". Utwór składał się z... czterech części. Tak to niestety bywa, jeśli autor poza własną twórczością nie czyta nic innego. Nawet encyklopedii.

❖

Budownictwo spółdzielcze naszego województwa znajduje się w ciągłym rozwoju. W ostatnim pięcioleciu zbudowano w tym pionie ponad 10 tysięcy izb mieszkalnych.

❖

Łodzi, jako miastu ponad 700-tysięcznemu, nie przysługują widać przydziały takich narzędzi rolniczych jak... kosy. Bowiem z cmentarza przy ulicy Ogrodowej ukradziono dwie oprawione na sztorc kosy dekorujące grób bohaterki Powstania Styczniowego.

❖

Około 600 osób z trzytysięcznej rzeszy absolwentów Wydziału Prawa UŁ gościło w ubiegłym tygodniu na Pierwszym Zjeździe Absolwentów. Na zjeździe powstało Koło Absolwentów, którego celem jest utrzymanie więzi z uczelnią. Bardzo ładna i potrzebna inicjatywa.

❖

Do Łodzi zjechał niezwykle dyskutowany, eksperymentalny „Teatr 13 rzędów" z Opola. Śląscy artyści wystawili „Akropolis" Wyspiańskiego. Ponieważ inscenizacja była nader nowoczesna i oryginalna, z góry było wiadome, co o spektaklu napisze pan Iks a co pan Igrek. I rzeczywiście.

J. W.

Dalszy ciąg ze str. 5

pieką. Ilekroć, czkając, próbowała stanąć na nogi, wszystko świadczyło o ostrym zaburzeniu równowagi. Chciał się poświęcić dla niej lekarz Pawelski, ale ja — mając na uwadze jego reputację — wolałem, by doszła do siebie u Majewskich.

Jerzy był prawie rozdygotany. Żegnał nas z roztargnieniem i pośpiechem, a z jego słów, nie nawiązujących bezpośrednio do wydarzenia, przebijał lęk, aby nie rozniosła się plotka o wyczynie Danuty i tych pań, które z ofiarną skwapliwością natychmiastowym czynem odpowiedziały na jej niewątpliwie histeryczny apel.

Aczkolwiek rozbierająca się Danutę oglądałem z przykrym uczuciem nieproszonego świadka, a tylko przelotnie z domieszką budzącej się dla jej urody ciekawości — było mi także nieswojo.

Ponieważ wychodziłem jako jeden z ostatnich, Jerzy zdążył mi się zwierzyć:

— Jak to dobrze, że tej rozróbki nie widział mój kochany szwagierek!

Miał na myśli Zygmunta Potylle, żonatego z Basią, rodzoną siostrą Danuty.

Wracałem bardzo powoli...

Wzdłuż ulic sterczały, niby kapryśnie nagryzmolone węglem na kartonie, czarne drzewa, a za nimi masywniały, jeszcze oddane ciemności, bryły domów. W paru tylko miejscach złotym, cichym blaskiem lśniły duże okna, spoza których dochodził monotonny zgiełk maszyn, jakby ktoś rytmicznie klapał wielkimi szczękami o metalowych zębach.

JAN HUSZCZA

(Fragment powieści pt. „PIÓROPUSZE")

JERZY WILMAŃSKI

LASU OPISANIE Z HISTORII

Las był zawsze azylem i często się krztusił
Burym dymem skałkówek i trzaskiem obrzynków

Las był zwykle przyjazny chociaż w porze stycznia
Grzęzły nogi
Śnieg sypki był jak piachy lipca

Polski las niskopienny
Żywica i ziele
Dukt piaszczysty a w dukty wpisane wybuchy

Potem padał ktoś ciężko twarzą w parny sierpień
W polski las
Las surowy
Bez grzybów i malin.

POŻAR PARKU W NIEBOROWIE JESIENIĄ

mówią
pewien stary Holender
obłąkany z uciętym uchem
tutaj zgubił płonący słonecznik

stąd ten płomień na oranżerii
stąd te ugry
te umbry ciepłe

a to tylko wiatr
w płomieniach liści skwierczy
a to tylko
jesień podpaliła wiąz.

ALKOHOLE

Oparty o cynowy bar w hotelu Overton
Ty jeden wiesz stary Johnie Griffith
Gdzie się rodzą przyczyny i brak motywacji

Kiedy w Kalifornii kurz pudruje prerię
Między miastem Glen Eillen a miastem Santa Rosa
Tu w Europie Środkowej
Noc

Wytłumacz mi tę noc
Znajdź ważkie motywy
Choć ty jeden wiesz dobrze stary Johnie Griffith
Że przyczyny są kruche a motyw zmyślony.

CO w terenie?

Jubileusz X-lecia istnienia obchodził niedawno Amatorski Zespół Recytatorski w Wolborzu pow. Piotrków. Mimo wielu kłopotów i trudności, przez dziesięć lat zespół zajmuje się trudną sztuką krzewienia kultury żywego słowa w Wolborzu i okolicznych miejscowościach. Z okazji tej miłej uroczystości Wydział Kultury Prez. MRN w Piotrkowie podarował recytatorom upragniony magnetofon.

●

Organizowane od wielu lat konkursy sztuki ludowej w województwie łódzkim, cieszą się coraz większą popularnością. Dzięki nim wyłowiono wiele przedmiotów artystycznie wykonanych przez twórców wiejskich, rękodzielników i rzemieślników. W powiecie sieradzkim zorganizowano już kilka takich imprez, natomiast w powiecie łaskim konkurs sztuki ludowej odbędzie się po raz pierwszy. Wydziały Kultury Prez. WRN w Łodzi i Prez. PRN w Łasku i Sieradzu oraz muzea w Sieradzu i Pabianicach, przy poparciu Ministerstwa Kultury i Sztuki oraz przy współpracy Łódzkiej Rozgłośni PR organizują w powiecie łaskim i sieradzkim Konkurs Sztuki Ludowej. Pierwszy z serii konkursów regionalnych, które organizowane będą na terenie województwa łódzkiego, w związku ze zbliżającymi się obchodami XX-lecia PRL.

●

Ministerstwo Kultury i Sztuki przyznało 7 stypendiów pieniężnych dla tkaczek, przystępujących do konkursu sztuki ludowej. Otrzymały je: Stefania Socha z Róży, Maria Gibka ze Zborowa, Rozalia Mosińska ze Lgzania — pow. Łask oraz sieradzanki: Stanisława Kubik, Władysława Szymczak i Józefa Chaładej z Monic i Stanisława Stępień z Wiechucic.

●

W przyszłym roku Wydział Kultury Prez. WRN w Łodzi przystąpi do odbudowy i adaptacji pochodzącego z XVII w. zabytkowego zespołu poklasztornego Sióstr Bernardynek w Wieluniu. Budynki klasztorne zbudowane w stylu późnego Odrodzenia po kasacie zakonu zostały sprzedane osobom prywatnym, zaś kościół przekazano gminie ewangelicko - augsburskiej. Ostatnim gospodarzem zabytku była spółdzielnia... stolarska, a zmagazynowane tam drewno stale stwarzało niebezpieczeństwo pożaru.

Po przywróceniu klasztorowi jego pierwotnej szaty architektonicznej, znajdą tam pomieszczenie zbiory przyszłego Muzeum Ziemi Wieluńskiej, sale odczytowe i biblioteka.

Tydzień, TELEWIZJA

ROZKOSZNIE TEATRALNY

Ubiegły tydzień przeszedł w telewizji pod znakiem widowisk teatralnych. Było ich zaledwie pięć: w poniedziałek — „Bez posagu", we środę — „Śniadania roku 1943", w czwartek „Kobra",w piątek — „Jak się wam podoba", w sobotę — „Rasmus i włóczęga". Stanowczo za skromnie. Rzucam więc hasło: w każdy dzień tygodnia — przynajmniej jeden spektakl.

Stare powiedzenie ludowe powiada, że barany chodzą stadami. Gdy do miejskiej komunikacji zostały wprowadzone autobusy — Samy, powiedzenie uległo modernizacji, i przyuczeni do kulturalnego oczekiwania w kolejce na autobus łodzianie głoszą, że „Samy", chociaż nie barany, bardzo lubią jeździć stadami. Teraz można wprowadzić trzecie, przystosowane do warunków telewizyjnych, znaczenie tego ludowego powiedzonka.

Telewidz nie powinien przesycać się jednym typem audycji. Program telewizyjny musi być urozmaicony, zróżnicowany, z sensem, z koncepcją programową. Stąd mieliśmy tych pięć teatrów w jednym tygodniu. Logiczne prawda? — A więc: do wyboru. Co kto woli, co kto lubi a jak nie woli, jak nie lubi, niech nie ogląda. Nie musi. Musi natomiast uiszczać opłatę za abonament.

Z tych pięciu teatrów, gdybym uczciwie mógł wystawić ocenę, nie oglądając się na ewentualne zgorszenie — najlepszą notę dałbym Kobrze. Tak, właśnie Kobrze. Ale ponieważ jestem tylko człowiekiem, skrępowanym przeróżnymi względami, nie przyznam palmy pierwszeństwa „Rozkosznemu popołudniu". Na przykład — ze względów lokalno-patriotycznych powinienem ją przyznać Teatrowi Popularnemu, który wystąpił z komedią Szekspira „Jak się wam podoba". Trudno, ale jestem człowiekiem mimo wszystko arbitralnym, i wolę nie przeciągać struny. Teatr Popularny zawiódł na całej linii, wyszukiwanie wszelkich „za", nie miałoby w tym wypadku najmniejszego pokrycia.

Na pewno warto było zobaczyć w poniedziałek „Bez posagu", Aleksandra Ostrowskiego, w reżyserii Jerzego Antczaka i świetną obsadę aktorską. Jerzy Antczak pokazał raz jeszcze, że jest doskonałym reżyserem, rozumiejącym i czującym specyfikę sceny telewizyjnej. Jak niegdyś „Nudzie jesiennej" Niekrasowa, tak i sztuce Ostrowskiego nadał Antczak ten charakterystyczny klimat — atmosferę, która stanowi podstawowy warunek powodzenia oraz wartości spektaklu telewizyjnego.

Studio literackie wystąpiło z adaptacją noweli znanego pisarza radzieckiego, Wasilija Aksjonowa. Przedstawienie na pewno ambitne, nowatorskie (chociażby symboliczna scena, w której jedynym elementem ekspresji jest ręka odbierająca chleb), reżyserował Andrzej Konic.

Natomiast z jakiej racji pokazano nam w piątek komedię Szekspira: „Jak się wam podoba", — trudno zrozumieć. Racje, oczywiście dają się odnaleźć ważkie, nie jest jednak w stanie usprawiedliwić kiepskiej reżyserii i tego całego tradycjonalnego kostiumu, w jaki Zygmunt Hübner odział swój spektakl. W tak prosty, mało skomplikowany sposób jedna z najlepszych i najbardziej znanych komedii szekspirowskich została „rozłożona". Sądzę, że nawet zwolennicy teatru klasycznego mają wiele zastrzeżeń do ostatniego Teatru Popularnego.

Swego czasu, w początkach kadencji Teatru Popularnego, trwała, zaciekła i raczej przy długa polemika (albo dyskusja, jak kto woli) na temat repertuaru Teatru. Powiedziano wtedy wiele, słusznie lub nie, na przykład ja broniłem prawa Teatru do samostanowienia o sobie. Niestety, czas pokazał, że bez racji. Nie znaczy to, że Szekspir nie nadaje się do telewizji. Powodzenie telewizyjnego spektaklu zależy wyłącznie od inwencji twórczej reżysera. Ale, jeżeli tej brakuje, w efekcie oglądamy niedobre przedstawienie. Zygmunt Hübner przeniósł żywcem teatr, tradycjonalny do warunków telewizyjnej, kameralnej przecież sceny. Dlatego poniósł klęskę. Przedstawienie, owszem, było na takim poziomie, że nie powstydziłby się jego trzeciorzędny teatr. Telewizyjny zaś teatr musi się jednak wstydzić swojej pozycji. Oprawa scenografii: lakierowane drzewka, lakierowane listeczki, traweczki kwiateczki, a wszystko po to, aby wywołać wrażenie naturalności. Plus kostiumy, plus partie dialogowe prowadzone na boczku, — więcej do płaczu było niż do śmiechu na tej szekspirowskiej komedii. Nawet kamery pracowały tak, aby za wszelką cenę udowodnić statyczną teatralność przedstawienia, i wywołać w telewidzu przekonanie, że siedzi nie przed małym ekranem, lecz na godnym miejscu czcigodnego, prawdziwego teatru. Aktorzy, posłuszni woli reżysera, grali jak z nut, traktując śmiertelnie serio swoje farsowe role. Przedstawienie było więc w sumie rozwlekłe, nudne, dowcip szekspirowski stracił cały swój polot. „Jak się wam podoba" nie mogło się spodobać. Moja babcia oglądała lepsze wersje Szekspira przed wojną, na przedstawieniach amatorów. Tak przynajmniej oświadczyła i po pół godzinie oglądania, znużona bardzo poszła lulać.

Ale przyjemną niespodziankę sprawiła Kobra. Tak, właśnie ta pogardzana, wygwizdywana „Kobra", o której mówiło się głośno a dobitnie, że upada konsekwentnie, systematycznie z czwartku na czwartek. „Rozkoszne popołudnie" — dobry, a przede wszystkim inteligentny kryminał Koczanowicza został inteligentnie zaadaptowany, inteligentnie wyreżyserowany, oraz inteligentnie zagrany ku ogólnemu zadowoleniu. Jerzy Gruza, z którego (nie wiadomo dlaczego), doświadczeniem reżyserskim, no i chyba też talentem — mamy okazję dosyć rzadko się stykać, dał przykład ze wszech miar dobrej roboty telewizyjnej. Telewidzowie zaś mieli okazję — równie sporadyczną — spędzić przyjemny wieczór przy „Rozkosznym popołudniu".

Wniosek z tego superteatralnego tygodnia jest jeden, i mało zachęcający: komuś kto kieruje polityką programową w telewizji należą się porządne baty za chaotyczny natłok spektakli. O pozostałych, ważniejszych pozycjach telewizyjnych można sobie powiedzieć już lapidarnie: reportaż Tadeusza Kolińskiego „Po trzynastu miesiącach" (19. II.) według znanego schematu; program z cyklu „W pracowniach polskich uczonych" — „Zimno... ciepło... gorąco" zaprezentował zupełnie poprawny, i co więcej — interesujący typ audycji popularnonaukowej, program rozrywkowy „Miks" jeden z nielicznych — dowcipnych i udanych, zaś magazyn filmowy — „Klaps"? O, tu ja zgłaszam propozycję: zmienić nazwę. Poprzedni też zasługiwał na przemianowanie. Dla ostatniego proponuję nazwę: „Prywatne życie Leona Niemczyka".

KOWALSKI

ANDRZEJ OSTOJA

Z notatnika prokuratora

W dniu 5 października 1962 roku na odludną ulicę Szczecińską wjechała niezwykła kawalkada samochodów: najpierw jechała „Warszawa", w której siedział prokurator i oficerowie milicji. Za nią taksówka nr 287, prowadzona przez wspólnika Józefa Tłoczka — Stanisława Tomczaka, następnie duży „lazik" milicyjny z podejrzanymi i eskortą. Kolumnę zamykał ambulans śledczy Komendy MO m. Łodzi.

Śledztwo stwarzało sytuacje powieściowe. Przestępcy wracali na miejsce zbrodni! Tylko, że nie robili tego dobrowolnie. Takich sytuacji nie przewidują zwykle autorzy powieści kryminalnych.

Jest to tak zwana wizja lokalna, połączona z odtworzeniem sytuacji, jaka miała miejsce w czasie dokonywania zbrodni.

Ta arcyciekawa czynność znalazła swoje odbicie w suchych sformułowaniach milicyjnego protokołu, który przytaczam w prawie dosłownym brzmieniu: „na miejsce zawieziono podejrzanych Klimczaka i Wydrzyńskiego. Byli także świadkowie naoczni zajścia: plut. Stefan S. i kpr. Józef O., oraz współwłaściciel taksówki nr 287 — Józef Tomczak. Taksówkę ustawiono na jezdni zgodnie ze wskazaniami podejrzanych oraz bezpośrednich świadków zajścia — Stefana S. i Józefa O. Z uwagi na to, że w tym dniu nie można było uzyskać samochodu „więźniarki", do wizji lokalnej użyto ambulansu śledczego KM MO Łódź, który wielkością i budową przypomina więźniarkę. W miejsce rannego Tłoczka użyto osobę pozorującą za jej wyraźną zgodą, a mianowicie Józefa Tomczaka. Podejrzani, po ustawieniu taksówki, wskazali na osobie pozorującej, jak wynosili Tłoczka z samochodu na brzeg szosy, po lewej stronie w kierunku jazdy taksówki (kierunek Zgierz). Następnie ponownie wnieśli pozoranta do samochodu w chwili, kiedy ujrzeli światła nadjeżdżającego od Zgierza samochodu. Z każdej czynności wykonano zdjęcia sytuacyjne. Świadkowie, funkcjonariusze MO, Stefan S. i Józef O. ustawili ambulans śledczy w tym samym miejscu, w którym zatrzymali się w dniu zajścia, to jest tuż obok taksówki Tłoczka. Wskazali oni również jakie czynności wykonali przed ujęciem podejrzanych, a mianowicie, Stefan S. usiadł za kierownicą, obok niego zaś Józef O, natomiast podejrzany Wydrzyński stanął przy taksówce w tym miejscu, w jakim znajdował się po zatrzymaniu samochodu MO. Milicjanci wskazali, jak wysiadali z samochodu, w które miejsce doszli, oraz kiedy zobaczyli rannego w taksówce. Ponadto została odtworzona sytuacja, jak zatrzymano Klimczaka, oraz jak Wydrzyński uciekł za taksówkę i skrył się w przydrożnym rowie. Wszystkie te czynności zostały utrwalone na zdjęciach i opisane zgodnie z odtworzoną sytuacją, a nadto sporządzono niniejszy protokół oraz szkic sytuacyjny z naniesieniem znaków orientacyjnych i usytuowaniem obiektów i rzeczy badanych".

Tyle protokół. Można sobie jednak wyobrazić, co czuli bandyci, kiedy umieszczano ich ponownie za kierownicą tego samochodu, dla którego zdobycia nie zawahali się targnąć na życie człowieka. Tylko, że w dniu 5 października ich gra była już dawno zakończona, chociaż krew Tłoczka, przelana w samochodzie, nie wyschła jeszcze zupełnie.

A trzeba było jeszcze ustalić w sposób bezsporny, jak to się stało, że Józef Tłoczek uniknął śmierci, oraz potwierdzić tezę roboczą, iż sprawcy działali w bezpośrednim zamiarze pozbawienia życia człowieka.

Dlatego też prokurator zwrócił się do prof. dr B. Puchowskiego, kierownika Zakładu Medycyny Sądowej Akademii Medycznej w Łodzi z prośbą o wydanie opinii w przedmiotowej sprawie.

Profesor Puchowski, po zapoznaniu się z aktami wydał następującą opinię:

„Józef Tłoczek został uderzony wielokrotnie po głowie ciężkim żelaznym łomem. W szpitalu stwierdzono 16 ran na powłokach głowy i stłuczenia rąk, co przemawia za tym, że uderzeń po głowie było więcej niż 16, ponieważ pewna ilość uderzeń spadła na ręce, którymi Tłoczek zasłaniał się przed ciosami.

Już w samym działaniu, polegającym na uporczywym, wielokrotnym uderzaniu po głowie ciężkim narzędziem można dopatrzyć się zamiaru pozbawienia życia. Prócz tego okazany mi żelazny łom jest tego rodzaju narzędziem, które nawet od jednego silnego uderzenia po głowie może pozbawić życia człowieka.

Należy uważać za szczęśliwy zbieg okoliczności, że uderzenia żelaznym łomem trafiały na okolicę ciemieniową i czołową i uszkodziły kości w tych właśnie okolicach. Gdyby bowiem takie same uszkodzenie powstało w okolicy skroniowej, gdzie przebiegają tętnice oponowe, mogłoby nastąpić ich uszkodzenie ze śmiertelnym krwotokiem śródczaszkowym.

Zamiaru pozbawienia życia Tłoczka można się również dopatrzyć w próbie dławienia go, czego ślady zostały opisane w protokole oględzin sądowo-lekarskich w postaci otarć naskórka na nosie i zasinieniu górnej wargi. Usiłowanie pozbawienia zdolności wołania o pomoc przez zatykanie ust i nosa ręką prowadzi do pozbawienia zdolności oddychania.

Zamiar pozbawienia życia mógł kryć się również w zarzuceniu na głowę Tłoczka marynarki i koszuli oraz przykrycie głowy szmatą, kiedy był nieprzytomny.

Tłoczek doznał licznych ran tłuczonych głowy, które, jak widać na fotografiach, i które, jak wiadomo z praktyki, zazwyczaj silnie brocza krwią. Ponadto Tłoczek doznał rozległych złamań pokrywy czaszki. Gdyby Tłoczek w tym stanie był pozbawiony na kilka godzin opieki lekarskiej, mógłby stracić życie wskutek utraty krwi i oziębienia ciała".

Jak z tego widać, mógł Tłoczek z co najmniej sześciu powodów stracić życie. A stałoby się tak tylko dlatego, że młody bandyta Jerzy Klimczak potrzebował motocykla, a drugi młody bandyta Ryszard Wydrzyński „w ogóle „lubił mieć pieniądze".

* * *

Dalszy ciąg na str. 8

Fot.: E. Kudaj

POTRZEBA MOCNEGO UDERZENIA

(Dalszy ciąg ze str. 1)

ich całe grupy. Jak pałeczka w sztafecie z rąk do rąk przechodzi brulion z piosenkami. Co też zaśpiewać, by zwyciężyć?

„*O Jimi Joe ja kocham czebe...*" — piszczy mały chłopaczek zadowolony, że to „czebe" jest akurat takie jak u Karin Stanek.

„*Byczio, całuje ciebie*" — buczy ponuro i fałszywie potężne chłopaczysko. Potem trzaska drzwiami zły, że go nie wzięli.

„*Nie płacz bo szkoda łez, twoich słonych łez*" — łka grubiutka dziewczyna załamując ręce i stawiając oczy w słup.

— Ja śpiewam tylko po angielsku.

— Kolega zna angielski?

— Tylko ze słyszenia...

— Dziękujemy.

Kolejna kandydatka ma z 10 lat, wielką futrzaną czapkę i gumowe wysokie buty obszyte futerkiem. Wygląda jak mała dzikuska.

— Ja na początku tak trochę powyję, a potem pan zagra cam-pam-pam i polecimy już razem, dobra? — uzgadnia sprawę z pianistą.

Na schodach w dalszym ciągu tłok. W toaletach podlotki malują rzęsy, brwi, usta.

Konkurs trwa.

O co chodzi? Czy w Polsce nie ma kto śpiewać piosenek? Czy trzeba ratować piosenkę wzywając do pospolitego ruszenia dziatwę i młodzież, odrywając ją od szkolnej ławy, przewracając w głowie młodym ludziom? Kto zwycięża w takich konkursach? Jeden z tysiąca, z dwudziestu tysięcy? Czy nie ma ceny gorycz zawodu, poczucie krzywdy, odarcie ze złudzeń młodego człowieka, brutalne zniechęcenie go do śpiewu, muzyki? Kto komu dał prawo do mącenia w głowach licznej bardzo grupie młodzieży, przeważnie szkolnej, interesującej się jazzem i piosenką? Czy koniecznie to naturalne zamiłowanie trzeba kierować w stronę niezdrowych snów o sławie, „łatwym chlebie" i legendarnej kabzie polskich big-beatowców. Kto organizuje ten cały cyrk dziecięco-młodzieżowy?

Dorośli. Bo dzieciaki 12-letnie, a nawet 16-letnie panny mają prawo wierzyć starszym, wierzyć w ich dobre, mądre, przemyślane intencje i zamiary. Tymczasem starsi doskonale bawią się w tym cyrku okrucieństwa. Inni zostali chwilowo zdezorientowani powodzeniem róż — młodzieżowych zespołów estradowych. Miejmy nadzieję, że się wkrótce ocknią z letargu.

Big-beat jest potrzebny. Jest jednak potrzebne mocne uderzenie... specjalistów od pospolitych ruszeń. Po głowie.

W. MĄCHEJKO

odgłosy str. 7

Kurs śmierci

Dalszy ciąg ze str. 7

Czytelnika zainteresuje zapewne, kim byli zbrodniarze, jakie dotychczas prowadzili życie, co kształtowało ich pojęcia moralne. Sprawy te zostały wnikliwie zbadane w toku śledztwa. Ustalono, że Jerzy Klimczak, kawaler, zamieszkiwał z ojcem i matką w jednorodzinnym domku w Ozorkowie, który stanowi własność jego rodziców.

Klimczak mając 15 lat ukończył szkołę podstawową, następnie przez półtora roku pracował jako malarz w ozorkowskim MHD, później był zatrudniony w PZGS w Łęczycy, w końcu znalazł zajęcie w Przeds. Gospodarki Komunalnej w Łęczycy, gdzie pracował do lipca 1962 r. Od tego czasu nigdzie nie pracował, jednakże życie miał wypełnione innymi zajęciami i nie narzekał na nudę. Stałe burdy, awantury, pijatyckie „pogromy" przechodniów, wypełniały mu czas bez reszty.

Drugi bandyta Ryszard Wydrzyński mieszkał razem z ojcem w jednorodzinnym domku składającym się z dwóch pokoi i kuchni, a stanowiącym własność jego ojca, który jest robotnikiem i pracuje w ZPB. Wydrzyński ma brata. Obaj są na wyłącznym utrzymaniu ojca. Matka Wydrzyńskiego umarła przed trzema laty. W 1959 r. skończył szkołę podstawową. Pracował w ŁZG w restauracji „Słoń", gdzie jednak bardzo szybko dokonał kradzieży na szkodę tej restauracji. Przez Sąd dla Nieletnich był skazany na rok zakładu poprawczego z zawieszeniem wykonania kary na dwa lata. Od 1961 roku był uczniem zasadniczej szkoły zawodowej przy PKS w Łodzi. Opinię wśród mieszkańców ma bardzo złą. Obcował z najgorszymi chuliganami i sam również był chuliganem. Od młodych lat pił wódkę, urządzał różne burdy i awantury. Bardzo często spotykany był w stanie nietrzeźwym w towarzystwie takich samych jak on kolegów, z którymi błąkał się po ulicach Ozorkowa zaczepiając i bijąc przechodniów. Ostatnio po pijanemu silnie pobił pewnego obywatela, który znając go nie wystąpił na drogę sądową. Gdy ojciec szedł na noc do pracy, syn sprowadzał do domu kolegów i prostytutki. W dniu 1. 10. 1962 roku wyszedł z domu w towarzystwie Klimczaka mówiąc, że jadą do Łodzi, do teatru.

Wiemy, jaki to był teatr i jakie przedstawienie urządzili bandyci.

* * *

Sprawa ta ma wiele aspektów, których nie chcę podnosić wychodząc z założenia, że wnioski są oczywiste i nasuwają się same. Pragnąłbym jednak zwrócić uwagę, jak mało w istocie dzieli „normalnego" chuligana od pospolitego bandyty. Nie wiadomo bowiem nigdy, kiedy chuligan zapragnie mieć motocykl i kiedy wyjdzie na ulicę uzbrojony w żelazny łom.

Dobrze byłoby również przypomnieć sobie przy okazji, że obowiązki rodziców w zakresie wychowania nie kończą się na zapewnieniu dziecku utrzymania.

Zawsze może się zdarzyć, że dziecko nie kontrolowane we właściwy sposób popełni kiedyś wykroczenie, występek a nawet zbrodnię.

To są truizmy. Wiem o tym. Ale jakże często zapominamy właśnie o tych sprawach najbardziej oczywistych. Czasem trzeba o nich pomyśleć.

Sądzę, że sprawa Klimczaka i Wydrzyńskiego stanowi doskonały materiał do takich rozważań.

* * *

Wyrokiem Sądu Wojewódzkiego dla m. Łodzi z dnia 29 XII. 1962 roku Ryszard Wydrzyński i Jerzy Klimczak zostali uznani winnymi zarzucanego im aktem oskarżenia czynu i za to zostali skazani na kary po 15 lat więzienia z równoczesną utratą praw publicznych i obywatelskich praw honorowych na okres lat pięciu.

Wyrok ten nie jest prawomocny.

Przewodniczył kompletowi sądzącemu SSW Marian Niepsuj.

Śledztwo prowadził i oskarżał prokurator Edmund Łyszkowski.

ANDRZEJ OSTOJA

ODGŁOSY tygodnia

ROZCZULAJĄCY BOBASEK

Rozczulającym, małym bobaskiem naszego życia jest oczywiście Telewizja. Małemu bobaskowi trzeba pomagać, małym bobaskiem trzeba się opiekować. Do opieki powołano więc szereg instytucji. W instytucjach tych odbyło się szereg spotkań typu organizacyjnego.

Najpierw istniał Klub Przyjaciół Telewizji (z własnym zarządem i prezydium). Następnie zwołano huczne spotkanie podczas którego narodziło się Towarzystwo Przyjaciół Telewizji przy Towarzystwie Przyjaciół Łodzi. Nie trzeba dodawać, że Towarzystwo posiadało własny zarząd i prezydium. Lecz to, oczywiście, nie gwarantowało jeszcze pełnej i sprawnej opieki nad bobaskiem. Jednocześnie więc powołano zupełnie nową instytucję — Łódzko-Wojewódzkie Społeczne Towarzystwo Rozwoju Służby Telewizyjnej w Łodzi.

ŁWSTRST w lipcu ub. roku odbyło pierwsze zebranie. Do lutego bieżącego roku włącznie, konstytuowało się organizacyjnie. Jak podała prasa, ŁWSTRST posiada obecnie: plenum i prezydium, komisję finansową, organizacyjną, propagandową, rewizyjną, sąd koleżeński (!). Najbliższe miesiące poświęci tworzeniu komitetów dzielnicowych, miejskich i powiatowych (z własnymi komisjami i zarządami). Nie ma tylko jeszcze członków — lecz „zaplanowało" rekrutację około 200 tysięcy osób. Te 200 tys. osób będzie mogło płacić roczną składkę, w zamian za to będą członkami ŁWSTRST w Łodzi. Oprócz tego, będą mogli (po zakupieniu telewizora i zapłaceniu abonamentu) — oglądać program. To ostatnie prawo przysługuje zresztą również i tym, którzy się do ŁWSTRST nie zapiszą.

Jakież cele przyświecają licznym Towarzystwom, opiekującym się Telewizją? — Otóż Telewizja, jak każde przedsiębiorstwo, ma swoje kłopoty. Na przykład: trzeba zrobić remont pomieszczenia. Jak tu zrobić remont? Skąd wziąć brygady remontowe? Albo: brakuje magazynów. Oczywiście, tym także ma się zajmować 200-tysięczna rzesza członków Towarzystwa. Do nich należą kłopoty inwestycyjne i techniczne, oni mają walczyć o silniejszy nadajnik oraz o wóz transmisyjny. Ich obowiązkiem jest w ogóle dbać o to, żeby bobaskowi niczego nie brakowało.

Lecz przecież Telewizja jest normalnym, państwowym przedsiębiorstwem. Posiada milionowego abonenta i — jak niedawno wskazała „Polityka" — przynosi zyski wielokroć przekraczające koszty własne. Nikomu jakoś nie przychodzi do głowy organizować np. Towarzystwo Przyjaciół ZPB im. Marchlewskiego — choć na pewno i w ZPB im. Marchlewskiego są do rozwiązania kłopoty inwestycyjne lub remontowe. Nikt nie tworzy Klubu Przyjaciół Poczty albo Zespołu do opieki nad Aptekami. Owszem, Towarzystwa Przyjaciół Telewizji miały sens wtedy, kiedy Telewizja dopiero raczkowała — ale nie w momencie, gdy ŁOT istnieje już 5 lat, gdy Telewizja stała się normalnym (acz nie najlepiej pracującym) przedsiębiorstwem państwowym.

A tymczasem — stworzono kilka instytucji, powołano do życia ogromną i skomplikowaną machinę biurokratyczną, z komisją rewizyjną i sądem koleżeńskim włącznie, ponieważ bobasek nadal potrzebuje opieki, nadal raczkuje. Chcielibyśmy wiedzieć, kiedy wreszcie wyrośnie?

Na marginesie pragniemy również zapytać, czy można zorganizować w Łodzi Klub Wrogów Telewizji? Osobiście sądzimy, że w związku z poziomem programów — rekrutacja chętnych do Klubu — nie nastręczałaby trudności.

MLEKO

Co odczuwa łodzianin, gdy późną nocą wraca do domu z wyczerpującego „zebrania"? Niezależnie od pory roku czuje pragnienie, zwłaszcza jeśli zebranie odbywało się w pobliżu restauracji. Czym je ugasi skoro o tej porze sklepy i kawiarnie są już nieczynne? Oczywiście smacznym, zdrowym i tanim mlekiem. Mleko stoi przed sklepami, wystarczy podnieść butelkę do ust i pić. Czasem wystarczy butelka, czasem cała skrzynka.

Swoistym rekordem w tej dziedzinie była kradzież całej bańki (ok. 50 l). Sprawcy raczyli się zdobycznym mlekiem przez prawie dwa tygodnie, co zakończyło się silnym rozstrojem żołądka. Wezwany lekarz trafnie domyślił się przyczyny choroby i wtajemniczył we wszystko milicję. Efekt — sprawa sądowa, wyrok — nie pierwszy, ale i nie tysięczny w takiej sprawie.

Mleko wciąż ginie, a złodziei łapie się rzadko. Czy dlatego, że spotyka się często kilku strażników miejskich w jednym miejscu, a dalej na całej długości ul. Piotrkowskiej ani jednego?

TWAROŻEK

Ku radości ogółu Okręgowa Spółdzielnia Mleczarska w Łodzi wyprodukowała tzw. twarożek smakowy.

Sposobów przyrządzania twarożku jest mnóstwo. W książce kucharskiej naszej babci znaleźliśmy przepis na:

twarożek z cebulką (lub szczypiorkiem),

twarożek z miodem,

twarożek z kminkiem,

twarożek z siekanym jajkiem

— nie mówiąc już o zwykłym twarożku ze śmietaną, solą i pieprzem. Lecz Okręgowa Spółdzielnia Mleczarska nie posłużyła się żadną z tych lub innych metod. Po prostu włożono 10-dekowe porcje twarogu w tekturowe pudełeczka, z niewiadomych przyczyn nazwano go „smakowym"(?) i sprzedaje po 3 złote pudełeczko. Zaś 1 kg „normalnego" twarogu kosztuje 26 zł 40 groszy. Zarobek — 3 złote 60 groszy na kilogramie.

Gratulujemy Spółdzielni pomysłu. Ale swoją drogą — czy tak trudno jest wyprodukować p r a w d z i w y twarożek „smakowy". Fachowcom ze Spółdzielni chętnie służymy przepisami kucharskimi naszej babci.

Redaguje Zespół * Wydawca: „Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka * Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79 * Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4.—, kwartalnie zł 12.— * Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca * Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy"
Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17
Zam. 532. II. 63. K-4

SYLWETKI ŁÓDZKICH AKTORÓW

ALICJA ZOMMER — po ukończeniu Państwowej Wyższej Szkoły Aktorskiej w Łodzi debiutowała na scenie Teatru Kaliskiego rolą Zosi w „Damach i Huzarach". Następnie była odtwórczynią roli Małgorzaty w „Damie Kameliowej" Dumasa. Od 1957 r. występuje bez przerwy na deskach Teatru im. Jaracza. Zwraca na siebie uwagę jako Emilia Galotti w sztuce Lessinga. Publiczność łódzka pamięta ją jako Bettinę w „Malborough idzie na wojnę", a także jako Marię z „Lekkomyślnej siostry".

Ostatnimi rolami w sztukach łódzkich autorów: (Kate w „Dark Glory" Karola Obidniaka i Simone w „Termitierze" Zbigniewa Nienackiego) zdobyła p. Alicja jednomyślne uznanie krytyki. Żałować należy, że ostatnio tak rzadko oglądamy ją na scenie.

Tekst i zdjęcie GERARD PUCIATO

100 dni

Karnawał obok zabaw i balów obfitował w tradycyjne „studniówki" przyszłych maturzystów. W tym wypadku trudności opałowe nie odegrały żadnej roli — bawiono się w dobrze ogrzanych salach.

Udało się też na ogół przełamać trudności finansowe, chociaż były znaczne. „Zastaw się a postaw się" — chcesz mieć maturzystę w rodzinie — płać 150 zł. Za powyższą sumę obficie karmiono młodzież, ciało pedagogiczne z przyległościami i oficjeli. Pozostałości po uczcie rozdawano woźnym, a jednocześnie, w jednej ze szkół, od komitetu organizacyjnego, który tyrał całą noc pobrano po 20 zł tytułem konsumpcji.

Rodzice płacili składki, płacili za nowe spódniczki, buty itd. itd. W sumie niżej 500 zł nikomu się nie udało wyłgać. Ale przecież nie wypadało się przyznać, że kogoś nie stać na taki wydatek, nie wypadało dziecka narażać na wstyd. Niech dziecina ma nagrodę za swój trud i wysiłek.

Za kilka miesięcy zagrożą wam bale maturalne. Rodzice! Niech to nie będą imprezy tak kosztowne, nie dajcie się zwariować!

FERDYNAND — TO NIE ALEKSANDER

Stefan Tymowski, łodzianin, wychowanek Łódzkiej Szkoły Handlowej, dyrektor administracyjny Teatru Miejskiego w Łodzi od 1919 do 1939 r. znany był w szerokich kołach naszego społeczeństwa jako wyjątkowo zacny i uczynny człowiek, bardzo popularny działacz społeczny i kulturalny, zawsze pełen humoru i dowcipu.

Za dyrekcji Kazimierza Wroczyńskiego na stanowisku głównego reżysera, pozostawał Henryk Szletyński, który wyczytał w „Journal de Geneve", że Ferdynand Bruckner przebywający na emigracji w Szwajcarii napisał sztukę pt. „Die Rassen", której akcja toczy się w środowisku studentów niemieckich, ogarniętych szałem faszystowskim.

Szletyńskiemu udało się tę sztukę sprowadzić do Łodzi.

— Pracowaliśmy przez 3 tygodnie – pisze w swych pamiętnikach Henryk Szletyński — gdy wydarzyło się coś, co stało się przyczyną niniejszego wspomnienia. Oto do kancelarii teatralnej nadeszła wiadomość, że starosta łódzki zakazuje wystawienia „Die Rassen".

Stefan Tymowski — w towarzystwie Szletyńskiego udali się do Województwa, aby przemówić za sztuką.

„Była sobota. Siedzieliśmy czekając na przyjęcie w obszernym hallu, w nastroju dostatecznie posępnym — wspomina Szletyński. — Tymowski świstał coś przez zęby bardzo cichutko.

— Słuchaj — powiada nagle Tymowski — przecież w zeszłym roku nagrodę literacką m. Łodzi otrzymał Brückner.

— Tak — odmruczałem — prof. Aleksander Brückner.

— Ja mu powiem, że to ten sam.

Audiencja u pana naczelnika — zdawało się — nie dawała nadziei na pozytywne wyniki.

Nie, stanowczo nie mogę nie zrobić — szorstko przemawiał pan naczelnik. — Już dość było do mnie pretensji z Warszawy, gdyście wystawili „Krzyczcie Chiny". Macie tyle innych pięknych sztuk itd.

Wówczas nastąpiło coś takiego, coś tak nieprawdopodobnego, że właściwie świat przestał dla mnie istnieć. Tymowski eksplodował.

— W takim razie — mówił tonem stanowczym i podniesionym głosem — musimy sobie powiedzieć, że w Łodzi nie można prowadzić teatru. Jakże to? W jednym roku Łódź daje Brücknerowi nagrodę literacką (pamiętacie przecież naczelniku?) — w drugim zakazuje się grać jego sztukę. Rozumiem, że pan starosta jako nowo przybyły człowiek nie orientuje się w naszych stosunkach...

W poniedziałek nadeszła do kancelarii teatru wiadomość, iż sztuka może być grana.

— Nigdy nie dowiedziałem się — pisze w zakończeniu swych wspomnień Szletyński — czy pan naczelnik oddziału II rozeznał się kiedykolwiek w różnicy między Ferdynandem a Aleksandrem.